

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie	6.
Półrocznie	3.
Kwartalnie	1.50
Miesięcznie	50

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie	7.—
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od
godziny 11 do 3 i od 5 do 7.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k
W tekście (nadesłane)	1 rb
Po tekście	20 k

Numer pojedynczy 15 kop.

„Realista“ na mównicy.

„W chwili ciężkiej i trudnej“ — napisał Tensam.

Wydawane od czasu do czasu broszury, zawierające wynurzenia i wskazania polityczne przewodników obozu ugodowego (któremu dziś zdaje się, że jest realistycznym), mają jedną dobrą stronę: wywołują dyskusję.

Skąd pochodzi zainteresowanie, jakie one budzą? Czy rodzi je trafność obserwacji, logiczność wniosków? Czy bije z nich mądrość, zdumiewająca najmniej nawet wrażliwych na potęgę ludzkiej myśli?..

Nic podobnego.

Znaczna większość ludzi, przejmujących się mocno sprawami publicznymi, czytuje te wydawnictwa głównie dla ich oryginalności. Znajdujemy tu, niezwykle, jak na dzisiejszych działaczy społecznych, punkt widzenia; uderza nas ton, przypominający czasy, kiedy polityka polska żyła jeszcze tradycją własnej dyplomacji i z obcymi potencjami prowadziła rozmowy.

Oto główny wdzięk tych broszur.

Niestety, ginie on rychło. Już po kilku stronach przekonywamy się, że autorowie ich są w najlepszym razie bardzo małymi wnukami wielkich pradziadków; brak im poczucia — a bodaj tylko złudzenia — siły, brak dostojności; nie dorównują poprzednikom swym ambicją. Z drugiej zaś strony w rozumieniu teraźniejszości i sił, obecnie realnych, dają się wyprzedzić zastępcom swym i przeciwnikom idejowym.

Ludzie z innego świata...

Urok mija; lecz nie mija zainteresowanie.

Bo i jakże nie ma zaciekawiać publicysta, który np. wobec reakcji, szturmującej obecnie zdobycze roku 1905 — przedewszystkiem zadaje sobie w lęku pytanie: „Czyśmy się do tak fatalnego zwrotu czemś pośrednio nie przyczynili?..“

Człowiek ten nie widzi więc zupełnie rzeczywistości: nie spostrzega faktu, że reakcja (zjawisko zresztą zwykle po każdym ruchu rewolucyjnym) ogarnia dziś całe państwo, starając się przywrócić for-

my przeżyte, że rozbudziwszy dla celów swych nacjonalizm „narodowości panującej“, ze szczególną mocą godzi w „inorodców“, nie szczędząc nawet najpotulniejszych i najprawomyślniejszych. Toć porwała się ona kilkakrotnie na arcylojalnych Niemców, nie mówiąc już o Finlandczykach, których swobody były jej solą w oku. Ostatnio słyszymy znów o potrzebie ukrócenia tatarów, doniedawna za wzór wierności podawanych.

A jednak w takiej właśnie chwili, „W chwili ciężkiej i trudnej“, autor świeżej broszury, pod tym tytułem wydanej, nie umiejąc szerszymi ogarnąć horyzontów, wyrzeć poza oplotki własnego kraju, w owym zjawisku powszechnym, powtarzającym się w identycznych formach nad zatoką Fińską, morzem Kaspijskim, nad Wisłą i dopływami Wołgi — przyczyny tego szuka... w polskich winach.

I oto ma być polityk realny, umiejący trzeźwo na prawdę życiową spoglądać!

Doprawdy, śmiech tu z rozrzewnieniem się miesza.

W czasach, gdy politykę wszelką — tak zagraniczną, jak wewnętrzną — dyktuje wyłącznie interes, gdy w danym wypadku organizacja biurokratyczna walczy o odzyskanie poderwanego stanowiska, „realista“ Tensam w walce tej, w jej motywach, szuka grzechów i kar, zasług i nagród...

A kiedy nielitościwe życie złudzenia te rozwiewa, gdy z bezwzględną ironją ukazuje całkiem inny łańcuch przyczyn i skutków: nagrodzone winy, pokarane cnoty — nasz trzeźwy obserwator najspokojniej oczy na fakty zamyka. „Po latach, rozpoczętych wojną — zakończonych konstytucją, które zwołniły zaciskającą nas obręcz i z podmuchem powszechnej swobody, przyniosły krajowi naszemu bezcenne dary“... etc. Temi słowami opisuje p. Tensam *zdobycze* roku 1905. Bezcenne „dary“ dały nam lata podmuchów. Zali pomiędzy wojną a konstytucją nic nie było? Tak sobie, ot: dmuchnęło ni stąd ni zowąd swobodą?..

Nie, panowie „realiści“, w ten sposób ze zjawiskami dziejowymi obchodzić się nie wolno. Jeżeli chcecie mieć bodaj odrobinę wpływu na „zapalone głowy“, to nie należy ich traktować jako ślepców,

którym wmawiać można, co się podoba. Trzeba liczyć się z faktem, że i oni mają uszy, mają oczy: widzą i słyszą, co się dzieje dokoła.

Gdyby jednak p. Tensam odważył się stwierdzić prawdę, iż „bezcenne dary“ nie były wcale nagrodą za pokorę—cóżby się stało z całą jego polityką? Toć wyklinał on wszelką konspirację nawet wówczas, gdy jedynie przy pomocy owej konspiracji chłop polski mógł się abecadła uczyć; tak, abecadła!—wtedy, kiedy sąsiad jego, Niemiec, prawie już nie znał analfabetyzmu, a eksploatujący wsi polskiej ciemnotę, żyd pisał i czytał w dwu lub trzech językach.

Co w owe czasy robiła ugoda—wiemy. Ale pytanie, co legalnością swą *zrobiła*?

Nic, nic zgoła.

P. Tensam jednak uważa się dziś za powołanego do uczenia „zapalonych głów“. Uczy, choć—jak się przekonywamy z jego broszury—z tem wszystkim, co się we wnętrzu społeczeństwa działo przed r. 1904, bardzo powierzchownie jest obeznany. Oto np. mniema on, że „grupka młodzieży warszawskiej“, co d. 3 maja r. 1891 „maszerowała z pękami kwiatów do ogrodu Botanicznego“ stanowiła zawiązek wielkiego stronnictwa, które „od pamiętnego r. 1904 aż do niedawnych czasów“ było „stronnictwem kierowniczym Królestwa“.

Rzeczywiście, znać, że p. Tensam nie miał nic wspólnego ani z rzeczoną grupką, ani z owym kierowniczym stronnictwem. Przedewszystkiem demonstracje r. 1891—to wcale nie było organizowanie jakiegoś jednego stronnictwa. Miały one przyczyny znacznie głębsze, a odbicie dalsze. Demokracja Narodowa, zresztą bardzo mało podobna do swej imienniczki z r. 1905 (nie 1904, bo w tym roku wpływ jej na masy był minimalny), w r. 1891 pragnęła opanować ferment, coraz wyraźniej ujawniający się wśród warszawskiego tłumu. Chciała ona godzić tło społeczne ze sztandarami patriotycznymi. W manifestacjach ówczesnych daleko więcej było odruchu, niż p. Tensam przypuszcza. Stanowiły one poniekąd pierwszą falę zbliżającej się burzy ruchu robotniczego. Gdy w r. 1893—po uczczeniu pamięci Kilińskiego—zapełniły się więzienia warszawskie, zastałem tam, obok przewodników Demokracji Narodowej, dalekich od wszelkiej organizacji politycznej czeladników rzemieślni-

czych, robotników fabrycznych, studentów, młodych lekarzy i inżynierów, między którymi przeważali zdeklarowani socjaliści. Różnice zapatrywań w tłumie tym były mętne, a łączyła wszystkich jedna tylko siła: mocno odczuwana, niemal konieczna potrzeba wyrażenia protestu w jakiegokolwiek formie. Nieznośne stosunki były daleko skuteczniejszą agitacją, niż najpłomienniejsze proklamacje. Popularność zaś hasel patriotycznych ścigała pod jeden sztandar żywość, które wkrótce rozejść się miały w różne strony. Ale już wówczas najskorszymi do akcji okazywały się elementy, żyjące w warunkach najcięższych—proletariat miejski. Na nim to oparły się partie skrajne, będące aż do r. 1905 duszą wszelkich przejawów opozycyjnych w Królestwie. Narodowa Demokracja odpowiadać nie może nietylko za ich czyny, ale nawet za pozorne sił tych rozpętanie. I bez niej, bez owych manifestacji z r. 1891, rozwinąłby się w Królestwie socjalizm, dokoła którego skupiły się niemal wszystkie „zapalone głowy“—te nawet, co daleko mocniej odczuwały krzywdy narodowe, niż klasowe.

Gdyby p. Tensam ewolucję tę był śledził, nie łączyłby tryumfów pokonstytucyjnych Demokracji Narodowej z wystąpieniami w r. 1891. Stronnictwo to w latach dziewięćdziesiątych zamierzało iść na czele opozycji. Na palecie programowej zbrakło mu jednak dość czerwonych barw i na czas długi ster z rąk swych puścić musiało. Odżyło w pełni dopiero wówczas, gdy reakcja porewolucyjna z nóg zwała lewicę społeczną. W tej to właśnie żywiołowej reakcji, która ogarnęła społeczeństwo polskie, znalazła Nar. Dem. dla siebie oparcie.

Ale czyż reakcja ta *może* być długotrwała?

Pytania tego p. Tensam—zda się—wcale sobie nie zadaje.

„W depresji, jaka ogarnęła nasze społeczeństwo—powiada p. Tensam—dominującą nutą jest zachwianie się wiary, aby można było skutecznie pracować dla kraju na drodze legalnej“. To też ogarnia go lęk, „aby się władza nie znalazła w rękach organizacji bezimiennych“. Zapowiedź tego niebezpieczeństwa dostrzega on w fakcie udania się „żałoby narodowej“, przyczem „bezimienna władza znalazła dla siebie odrazu grunt podatny, zdołała

WACŁAW GRUBIŃSKI.

Kochankowie. (5)

HELENA. Nie, ja się nie gniewam...

WIKTOR. Nie, nie, bo i za co? (*przenikliwie, serdecznie*). Cóż w tem karygodnego, że ja... Czyż to źle—kochać? albo może źle jest być kochaną? Przecież nie! ach, przecież nie! Nieprawdaż—wolno—być szczęśliwym? Miałoby nie wolno być szczęśliwym? Tego nikt nie powie. Ja chcę być szczęśliwym—ja mogę—ja mam prawo! (*nagle zmieszany własnymi słowami*). To jest—jabym nigdy nie śmiał... niech pani daruje—ja nie to. Dla mnie jest szczęściem mówić... nie ukrywać... (*jeszcze błogalniej, z coraz rozlewniejszą tęsknotą w hamowanym i wciąż przyciszonym głosie*) Niech mi pani nie zabrania mówić... niech nie muszę udawać. Pani i tak wie wszy-

stko. Choćbym nie powiedział, pani by wiedziała. W każdym moim słowie, w każdym oddechu słysząc, że panią kocham; to ze mnie krzyczy każdym poruszeniem... (*robi nieokreślony ruch rękami*) Gdybym potrafił wypowiedzieć! To się nie da wypowiedzieć! Boże, co za męka! (*ciągle jakby z wysiłkiem szukał słów*) To jest takie... piękne, takie... radosne! na to niema w ludzkiej mowie nazwy! Ja to w sobie niosę... w piersiach... cały, cały świat... tętniący, jak serce... dla pani. Nie wolno mnie odpychać! To byłoby... źle! Ja czuję, że to—byłby... że to... że nie wolno! Pani mnie rozumie... (*nagle niezmiernie miękko*) Nie wolno być nie dobrą... (*wciąż szuka wyrażenia, któreby niezbitnie przekonały*) Błagam... To miłość. (*zadrżały mu wargi*)

chwila.

Pani słucha, ale... ale pani... ale... (*umilkł*).

HELENA z wolna do Wiktora podeszła i białymi rączkami poczęła z czoła odgarniać mu włosy.

WIKTOR nie śmie się ruszyć.

poddać swoim rozkazom nawet tych, którzy nie mieli ochoty iść za nią“.

Więc dopiero „żałoba narodowa“ realnemu politykowi otworzyła oczy; zjawisko tak powierzchowne, tak słabo związane z rzeczywistością sprężynami i z istotnym terenem nurtującego głębie społeczne— ducha protestu odsłoniło mu prawdę.

Przyzwyczajwszy się załatwiać rozmaite sprawunki „polityczne“ przez osobistą, przygodną grzeczność figur i figurynek wpływowych, ugodowcy zupełnie potrącają z oczu motywy dziejowe stosunków społecznych. Każdy przejaw życia publicznego tłumaczy sobie jedynie jako dzieło jakiejś agitacji, jakiejś świadomej roboty. Inaczej tego zrozumieć nie mogą. Wedle nich socjalizm np. powstał w Polsce dlatego, że kilku panów umówiło się, żeby „go zrobić“; wydali broszurki i najęli „niesumiennych“ agitatorów. Demokracja Narodowa—to w wyobraźni owych szczególnych „realistów“—p. Dmowski. Gdyby p. Dmowski nie chciał, nie byłoby Demokracji Narodowej.

Stąd łatwo już zrodzić się może przypuszczenie, że wystarczy, by p. Tensam wyjaśnił ogółowi szkodliwość dawania posłuchu „władzy bezimiennej“, szkodliwość wszelkiej pracy podziemnej, nielegalnej, a ta — przy dobrej woli społeczeństwa — zniknąć może.

Oczywiście, mogłaby. Ale wówczas tylko, gdyby panowie „realiści“ zdołali okazać bodaj jedną swoją zdobycz, gdyby czynem dowiedź potrafili skuteczności własnej polityki.

Dziś nastęrcza im się doskonała sposobność: zamiast mentorować, niechaj w drodze legalnej rozluźnią „zaciskającą się obręcz“.

Lecz p. Tensam nie obiecuje tego rodzaju eksperymentów. Zapowiada natomiast coś zgoła innego, a mianowicie: demaskowanie konspiracji w prasie ugodowej i jawne zwalczanie w niej wszelkiej „władzy bezimiennej“. „Trzeba — powiada — aby na zewnątrz nie było cienia wątpliwości, że wyrobiona politycznie opinia polska potępia wszelkie próby mącenia naszego życia przez żywioły bezimienne i nieodpowiedzialne“.

Idzie więc o to, by „wyrobiona politycznie opinia polska“ umyła ręce od wszelkiej odpowiedzialności za przejawy opozycji.

Zdaje się jednak, że jest to zupełnie zbyteczne. Skoro organy rządowe — jak sam autor powiada — i tak „daleko więcej i lepiej wiedzą, co się u nas dzieje, niż my, publicyści polscy“ — to nie mają one żadnej wątpliwości, iż p. Tensam i jego towarzysze są zupełnie obcy i dalecy wszelkiej robocie nielegalnej; że trzymają palec nietyle na pulsie, ile na mankiecie swego narodu.

Uświadczenie władz ma — zdaniem autora broszury — rozgrzeszać prawomyślną publicystykę od stosowanej dotąd dyskrekcji w polemikach z przeciwnikami politycznymi.

Wszelako rodzi się tu jedna wątpliwość. Oto np. p. Tensam potępia „żałobę narodową“. Przypuśćmy, że słuszność jest po jego stronie. Dobrze. Ale co ma wówczas począć ewentualny stronnik żałoby? Zali polemiści korzystać będą z jednakowej broni? A jeżeli nie, to czy godzi się polemizować z człowiekiem, któremu zakneblowano usta?

Niech się nad tem zastanowią ci, których p. Tensam wywodami swemi przekonać zdołał.

Inny.

Pospieszne wnioski.

Zamieszczając artykuł p. Z. Kuncewicza o ewolucji form własności ziemskiej w naszym kraju, zastrześliśmy się, iż poruszone w nim zagadnienie wymaga wszechstronnego omówienia. Trzeźwe spostrzeżenia p. W. Szukiewicza oświetlają kwestję z innej strony i stanowią cenny przyczynek do dyskusji na temat tak ważny i żywy.

Z wielką uwagą i szczerem zainteresowaniem się, przeczytałem artykuł p. Zenona Kuncewicza p. t. „Ewolucja form własności ziemskiej i ruch kooperacyjny“, drukowany w numerach 14 i 20 „Przeгляdu Wileńskiego“.

Daje on nam pogląd ogólny na przyszłość własności ziemskiej w naszym kraju, przyczem dla własności większej prorokuje ostateczny upadek, przeciwnie zaś w mniejszej widzi czynnik

HELENA (*cicho*) Nie trzeba płakać.

WIKTOR *ze wszystkich sił hamuje wzruszenie.*

HELENA. Już dzisiaj raz widziałem łzy w tych oczach. Byłam niedobra — czy tak?

WIKTOR. O nie...

HELENA (*blisko*). Czy mi przebaczy?

WIKTOR. Pani!

HELENA (*wpatrzona w Wiktora*). Szaleniec, czarujący chłopiec, który wie wszystko.

WIKTOR. Pani!

HELENA. Cicho, cicho. Już nie będę sroga... nie mogę... nie umiem... prześlizgnij dzieciaku.

WIKTOR. Proszę tak nie mówić.

HELENA. Zabrania mi mówić?

WIKTOR. Nie...

HELENA. Książętko z bajki.

WIKTOR *otoczył Helenę dwoma ramionami i zatonęli w długim pocałunku.*

Gdy pocałunek się skończył i gdy Helena odstąpiła krok, Wiktor ją pochwycił po raz drugi i po raz drugi zatonęli w pocałunku dłuższym, jeszcze namiętniejszym.

WIKTOR (*powłókł mglistym, ale jednocześnie gorzącym wzrokiem*). Nie odchodź... (*Helena nie odchodziła*). Powiedz, to nie sen? (*przycisnął do siebie Helenę, jakby w obawie, że ją może stracić*). Moja!.. Jesteśmy razem, prawda? razem!

HELENA. Kocham cię! Och, kocham cię!

WIKTOR. Heleno...

HELENA. Ty porywający chłopcze! Kochałam cię, nie znając. Jak ty mnie. Ale dopiero dziś, gdy wszedłeś i zacząłeś mówić... kiedy tak blisko... kiedy twoja miłość tak porywająco młoda... O mój! (*zarzuca Wiktorowi ręce na szyję*).

WIKTOR. Ja oszaleję!

kulturalny, mający przeobrazić do gruntu fizjonomję kraju. Czy życie społeczne, w przyszłym swoim rozwoju uzasadni teorie sz. autora, dziś zawczasie jest o tem wnioskować i tymczasem wszelki spór o to uważałbym za gołosłowny, bo: „Świat idzie swoją drogą“, której kierunku najwięksi nawet myśliciele wskazać nie umieli dokładnie nigdy.

Na razie przeto może nas interesować jedynie metoda, jaką szanowny autor posiłkował się przy tworzeniu swych teorii. Taką metodą może być w takich razach tylko obserwacja jaknajściślej zjawisk życiowych, przeprowadzona na całym obszarze kraju, nie zaś na jakimś jego skrawku. Trzeba te spostrzeżenia nawiązać z czasem i przestrzenią, bo inaczej z pomocą obserwacji w zakresie ciśniejszym, możemy dojść do wniosków całkiem niepewnych.

O ile mogę sądzić o tem, co nam gotuje przyszłość, opierając się na własnych spostrzeżeniach, to mi się widzi, że zarówno odsadzanie większej własności ziemskiej od udziału w pracy nad podniesieniem dobrobytu w kraju, jak i przyznawanie mniejszej własności roli czynnika kulturalnego — jest przedwczesne. Są, nie przeczę, gospodarstwa większe, które zapewne i sz. autor miał na myśli, gdzie z braku fachowego wykształcenia, a czasem i wogóle szerszego pojęcia u właścicieli, lub z przyczyny fatalnego powikłania interesów, wszystko zdaje się chylić do upadku, zapowiadając ruinę ostateczną — ale obok tych istnieją przecie dziesiątki setek innych, będących prawdziwymi wzorami kultury, z których czerpią naukę liczne rzesze mniejszych braci. Takich gospodarstw większych, które bądź co bądź stanowią siłę ekonomiczną kraju, nie można ani lekceważyć — bo spełniają swoją rolę rozsądników kultury, ani skazywać na zagładę, bo mają one pełną gwarancję trwania, o ile kiedyś, jakiś gwałtowny przewrót, nie zniweczy ich istnienia.

Za przewodem właścicieli większych, którzy ukochawszy te swoje dziedzictwa, umieją na nich pracować, każda reforma mogłaby się przyoblec w kształty realne, byleby tylko inne warunki sprzyjały takiej działalności. Dla spełnienia tego

należałoby, — rozumie się — ażeby wśród naszego zamożniejszego ziemiaństwa rozwinęło się bardziej niż dziś poczucie solidarności z większością narodu, jako też zrozumienie obowiązków swoich względem kraju. Gdyby taka reforma w pojęciach tej znacznej jeszcze bądź co bądź części naszego społeczeństwa urzeczywistniła się, kwestja podniesienia się ekonomicznie mniejszej własności ziemskiej byłaby rozwiązana.

Przykładów na to jest mnóstwo, że wspomnę o Królestwie Polskiem, Zmudzi etc., gdzie przykład, idący od właścicieli zamożnych, zmienił do gruntu pojęcie chłopów o sposobach gospodarowania, a zmieniłoby się ich pojęcie i w znaczeniu ogólnem, gdyby to było możliwem do przeprowadzenia wobec istniejących ciężkich warunków politycznych.

Nie bierze też sz. autor pod uwagę tego, co mogą zdziałać dla podniesienia kultury rolnej nasze Towarzystwa rolnicze. Posiadają one przecie siłę niezaprzeczoną i mogłyby odegrać rolę decydującą w ruchu kooperacyjnym, gdyby chciały, czy mogły się zdemokratyzować. Niestety, nie tego tymczasem nie zapowiada. W każdym jednak razie reforma towarzystw w tym względzie jest możliwą, przeto i udział w pomienionym ruchu daje się przewidywać.

Całkiem inaczej, bo optymistycznie, zapatruje się sz. autor na zapoczątkowany u nas niedawno ruch kooperacyjny, mający swój wyraz w istniejących obecnie kółkach rolniczych i stowarzyszeniach spożywczych. Sz. autor widzi w nich znak zbawienia dla kraju, załazek przyszłego dobrobytu, widzi nawet zżądź tego promiennego jutra w dotychczasowych objawach działań solidarnych. Widzi w ludzkiej dojrzałości pojęć i zrozumieniu tej wielkiej prawdy, że gdy idzie o interesy realne, tam wszelka opieka i filantropja jest nie na miejscu, więc co z tego wynika, że tylko „sami sobie“, własnymi rękami będą mogli zbudować lepszą dolę.

Czy nie zawczasie, to, co jeszcze nie wyszło poza sferę pobożnych marzeń ideologów, ubierać w szaty postulatów? Możemy tego gorąco pragnąć, ażeby lud poczuł w sobie siłę i sam

HELENA. To ja oszalałam, ja! Bo ja już nie mam dziewiętnastu lat — jak ty! O, powiedz, że mnie kochasz, powiedz, że mnie kochasz!

WIKTOR. Kocham! Chcę krzyknąć z radości! chce mi się śmiać i łkać! (*objął Helenę tkliwie*).

HELENA. Ja cię tak samo kocham!

WIKTOR. Przy tobie cały świat się zmienia. Wszystko naokoło dźwięczy, gra, dzwoni... (*tuli Helenę*) Jak dobrze! (*spojrzał na Helenę i z nowym zachwytem*). Mój drogi kwiat! Który w oczach kwitnie!

HELENA. Dla ciebie.

WIKTOR. Jesteś zapachem, blaskiem! Jesteś szczęściem! (*tączą się w gorącym pociątku*).

HELENA (*jarząca jak słoneczne światło, odchodzi od Wiktora; cicho, z czarownym uśmiechem*). Zapada wieczór. (*siadła na kanapie*).

WIKTOR. Jeszcze daleko. (*ukląkł przy Helenie*).

HELENA (*położyła ręce na ramionach Wiktora*). Wdarł się do mnie siłą.

WIKTOR (*upojony*). Te usta są moje... te wielkie oczy... te odurzające włosy...

HELENA (*po chwili*). Zapada zmrok.

WIKTOR. Każesz mi odejść?

HELENA (*bierze w pieścące dłonie ukochaną twarz Wiktora; tęsknie*). Jeszcze nie.

(*Kurtyna wstydliwie opada, ale zatrzymuje się w połowie drogi*).

HELENA. Tyle ci mam do powiedzenia... (*słodko się pochyla ku klęczącemu Wiktorowi*).

Kurtyna spada do samego końca.

decydować o swoim losie, lecz w dotychczasowych sporadycznie objawiających się wybuchach jego siły nie możemy się dopatrzeć żadnej planowości, żadnej odpowiedzi nawet na to, że w wybuchach takich z czasem może wystąpić uświadomione pojęcie o własnej lub też wspólnej korzyści. Takie uświadomienie idzie w parze tylko z większą oświatą, z rozszerzeniem granic wiedzy fachowej w masach. Dopóki lud nasz (mam tu na myśli naszych małych właścicieli wogóle) umysłu swego nie podniesie do wyższego poziomu, niż obecny, dopóty sam dla siebie nic nie stworzy, a pójdzie owozym popędem za każdym, kto mu zaimponuje.

Tak zwany „chłopski rozum“ dziś nie tylko, że już nie wystarcza, lecz owszem, swą zapleśniałą konserwatywnością nieraz szkodę ludowi przynosi. Powodując się takim rozumem, chłop nie kupuje w sklepach spółkowych, bo on korzyści tej, która go w przyszłości czeka, nie pojmuje, więc nie ocenia, natomiast każdy grosz, wytargowany dziś u drobnego sklepikarza, ma dla niego wielką wartość; nie używa ani pługów, ani broni żelaznych, ani nawozów sztucznych, ani żadnej rzeczy, które mają dla niego markę niepotrzebnych, bo kosztownych nowości; nie myje się, ani się czesze, chyba raz w tygodniu, bo na to w jego pojęciu nie ma on czasu, za to ma go poddostatkiem na hulanki, świętowania różnych „trzech dni“ i „śródniedzi“ i t. d.

Właściciele średni, w stronach, z których sz. autor czerpał prawdopodobnie dane — mało się różnią pod względem pojmowania obowiązków społecznych od swych młodszych braci. Każdy rad grzebie na swoim tylko podwórku, na cudze zaglądając jedynie po to, ażeby zebrać materjał na plotki. Nie przeczę, że i takie społeczeństwo może się z czasem ocknąć i rzucić do twórczych czynów, lecz dziś zawczasem jest mówić, że się to już stało.

Trzeba śpiących wprzód obudzić z wiekowej drzemki, popchnąć w danym kierunku, zachęcając przykładem rozumnej pracy — inaczej długo, długo wypadnie oczekiwać na spełnienie marzeń sz. autora. Co rozumna, a celowa praca jednostki gorliwej może zdziałać, na to mamy wiele przykładów, nie mamy zaś ani jednego, któryby nam mówił, że pojęcie solidarności w pracy kulturalnej przeniknęło już u nas do mas.

Takie kółka rolnicze, które trwają jeszcze i rozwijają się jako tako — mają to do zawdzięczenia tylko jednostkom gorliwym. Tam, gdzie ich zabrakło — przestały działać, więc je zamknięto. Na kasy pożyczkowo-oszczędnościowe też mało na przyszłość można liczyć. Pożyczka krótkoterminowa na 8 proc. dla rolników jest zbyt uciążliwą: przy jej pomocy żadna meljoracja pomyśleć się nie da, korzyść więc z niej najczęściej handel, liczący na wielkie zarobki. Stanowczo kredyt dla rolnictwa powinien być oparty na innych zasadach, niż istniejący, za drogi dla naszego biednego kraju.

Reasumując wszystko, co się wyżej powiedziało, dochodzę do wniosku, że z dzisiejszych warunków, w jakich trwa nasze społeczeństwo na Litwie, żadnych tymczasem pomysłów na przyszłość horoskopów stawiać nie należy. Tembardziej trudne jest wytknięcie dróg ewolucji ekonomicznych. Że kooperacja stanowi potęgę — to fakt, ale czy do zorganizowania tego ruchu, jest konieczne rozdrobnienie większej własności ziemskiej,

i czy rolę tej własności należy uważać za skończoną — to jeszcze kwestja, której rozwiązania z dzisiejszych warunków przewidzieć nie sposób.

Wandalin Szukiewicz.

Wodpowiedzi p. Hłasce.

P. J. Hłasko z „Kurjera“ się gniewa. Gniewa się na mnie za artykuł „Prasa wileńska“ w № 22 „Przeglądu Wileńskiego“. W replice swojej p. J. Hł. nie tyle operuje argumentami rzeczowymi, ile używa znanej metody polemicznej, polegającej na dyskredytowaniu osoby przeciwnika, spekulując na popularnych uczuciach i wrażeniach czytelników. Odsądza mnie więc od prawomyślności narodowej, zarzuca zaślepienie partyjne (niewiadomo zresztą jakiej partji, bo do żadnej nie należałem i nie należę), wzmiankuje o jakichś pochwałach „Wileńskiego Wiestnika“, by tem łatwiej mię zdyskredytować przez podsunięcie czytelnikom myśli o jakimś dziwnym związku sympatycznym, zachodzącym między projektami mojemu a aspiracjami „Wiestników“, i t. d.

Wolno nam się z p. J. Hł. różnić w poglądach na nasze zadania narodowe i obywatelskie w kraju oraz na wskazania, płynące ze stosunków międzynarodowościowych, ale różnice te nie powinny się wyrażać polemicznie w przyswajaniu przez p. J. Hł. monopolu na prawomyślność narodową, oraz odsądzaniu mnie od takowej. I jeżeli kto z nas dwóch dał dowód zaślepienia „partyjnego“ w polemice niniejszej, to sędzę, że raczej p. J. Hł., operujący docinkami osobistymi zamiast argumentacji rzeczowej i szafujący łaskawie, ze swego stanowiska doskonałości, morałami czy to w stosunku do „Naszej Niwy“ czy do mnie,

Żadna właściwie z tez p. J. Hł. udowodniona nie została. O stwierdzenie jakich mianowicie prawd i zjawisk chodziło? Czy o podanie publiczności polskiej wniosku, że kierunek „Naszej Niwy“, świadomie czy bezwiednie, działa na rzecz kierunku Soloniewiczowskiego? Czy o zdemaskowanie językowo-kościelnych żądań pisma tego, które odpowiadają zasadzie, uznanej obecnie przez władzę duchowną i nie kwestjonowanej przez „Kurjer“? P. J. Hł. wyraźnie się w tych kwestiach nie wypowiada, natomiast główny punkt ciężkości przenosi znów na słowiański zjazd praski i rolę w nim delegacji polskiej w stosunku do kwestji białoruskiej.

Wątkowanie zjazdu praskiego i całej tej sprawy neoslawizmu z przed lat kilku uważam za rzecz istotnie drugorzędą czy to ze strony „Naszej Niwy“ czy „Kurjera“.

Checiałbym natomiast słów kilka tu dodać do poruszonego w poprzednim artykule moim projektu utworzenia Wileńskiego Towarzystwa literatów i dziennikarzy. Jeżeli się mylę, jeżeli Towarzystwo takie istotnie racji bytu nie ma w warunkach naszych, to należałoby to oponentowi wykazać, nie zaś zbyć lekceważąc projekt przedstawieniem go w postaci *ad hoc* sparodjowanej.

Rozumiem dobrze, że urzeczywistnienie takiej związkowej organizacji literacko-prasowej jest bynajmniej nie łatwe i zapewne u nas trudniejsze, niż gdzieindziej, tak ze względu na rozbięcie naszego społeczeństwa i naszego ruchu publicystycznego na poszczególne grupy narodowościowe,

jak też ze względu na ogólne warunki polityczne, w jakich się te narodowości oraz ich stosunki wzajemne rozwijać muszą. Trudność wykonania projektu jakiegos, który przy bliższem zbadaniu może się nawet okazać nieziszczalnym, nie przesądza jeszcze sama przez się o istnieniu lub braku odpowiedniej potrzeby.

Dlaczego Towarzystwo takie nie będzie miało powagi należytej — nie wiem. Jeżeli prasa nasza nie jest sama przez się poważna, jeżeli jest li tylko zabawką czy fantazją, to oczywiście jej organizacja związkowa też poważna nie będzie. Czy można wszakże takie twierdzenie ogólnie do prasy wileńskiej zastosować? Ma ona braki poważne, jest niezasobna, uboga w środki pomocnicze i t. d., ale jest przeważnie idejowa i pełni funkcję społeczną w warunkach ciężkich uczołwie, tak jak ją pojmuje i jak wierzy.

Drugi zarzut p. J. Hłaski, że w sprawach narodowościowych przy utworzeniu osobnego wydziału do spraw tych w sporze naprzykład polsko-litewskim udział arbitralny brać będzie sekcja żydowska lub rosyjska, nie wydaje mi się poważny. Sądzę, że w kwestjach, dotyczących dwóch narodowości, głos należeć powinien w organizacji takiej, zwłaszcza w naszych warunkach, nie do rozjemcy trzeciego, jeno do przedstawicieli stron zainteresowanych.

Wreszcie zarzutem najpoważniejszym jest kwestja języka urzędowego w T-wie. Istotnie mamy tu w Wilnie warunki pod tym względem nader uciążliwe. Jeżeli wszakże inne towarzystwa czy to kulturalne czy zawodowe powstają u nas i z natury rzeczy funkcjonować muszą w warunkach istniejących przepisów językowych, aczkolwiek jest to dla nich bardzo dotkliwie, to czemużby i Towarzystwo dziennikarzy nie mogło się do tych warunków nagiąć? W sekcjach narodowościowych możnaby się posługiwać faktycznie mowami własnymi, w porozumiewaniach się międzysekcyjnych używać dwóch czy więcej języków odpowiednich, w ogólnych zaś zebraniach, skoro by inaczej być nie mogło, pozostałby język urzędowy, jak to ma, niestety, miejsce we wszystkich ulegalizowanych towarzystwach naszych.

Nie przeczę, że wszystkie trudności założenia towarzystwa tem się nie wyczerpują. Jest to sprawa poważna i bardzo trudna do uskutecznienia, ale, jak się zdaje, nie niemożliwa. Wymagałaby ona omówienia szczegółowego i rozwagi starannej.

Michał Römer.

Po wyborach belgijskich.

II.

W ciągu trzech—czterech dni, następujących po wyborach z dnia 2 czerwca cała Belgja robotnicza wrzała. Zdawało się chwilami w okręgach przemysłowych Wallonji, że zbliżają się wielkie i ważne wypadki. Przywódcy utrażli na chwilę wszelki wpływ na masy. Najpopularniejsi mówcy, zazwyczaj słuchani, ubóstwiani przez gromady robotnicze, chwala i duma mas ludowych belgijskich Anseele, Vandervelde, spotykali się wszędzie z protestem. Gdy starali się masy sprowadzić na drogę rozsądku, i przekonywali, że strejk powszechny jest

przedwczesny, że niema szans powodzenia, że trzeba czekać, aż zbierze się parlament, nie chciano ich słuchać, gwizdano, odzywały się głosy bardziej jeszcze groźne i niechętne. Po kilku dniach szła minął: „rozsądny“ robotnik belgijski posłuchał raz jeszcze głosu doświadczonych swoich wodzów. Nagromadzone namiętności, nie odświeżane przez żywioły wiejskie i flamandzkie, zadowolone z wyniku wyborów, uspokoiły się. Jednak ta ruchawka kilkudniowa będzie miała niemałe znaczenie dla zwycięskich kleryków: powinno to być ostrzeżeniem dla zwycięzców chwili, powinno powstrzymać zapędy klerikalistyczne, powinno nie dopuścić do ponownego zrłoszenia ustawy szkolnej według projektu dawnego ministra Schollaert'a (Skollart'a). Niedaleka przyszłość pokaże, jakim stopniem dojrzałości politycznej i patrijotyzmu, obejmującego całość zbiorowości belgijskiej, rządzącego się interesem całości, a nie interesem stronnictwa pochwalić się mogą ministrowie z gabinetu hrabiego de Broqueville.

Nie pierwsza to ruchawka belgijska w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu. I wszystkie wywołane były zabiegami o demokratyzację organizacji politycznej, z chwilą, gdy masy robotnicze po długich latach przygotowań, organizowania się zawodowego, kulturalnego i politycznego wystąpiły na widownię walki politycznej, domagając się udziału w życiu politycznym kraju. Ostatnia manifestacja *liberalna* przypada w Belgji na rok 1884, kiedy burżuazja Brukselli zmusiła króla do zmiany gabinetu i cofnięcia reakcyjnych projektów szkolnych. W r. 1886 zaczęła się ruchawka robotnicza w zagłębiu węglowem Leodjum i Charleroy i owocem tych ruchów społecznych była nasamprzód ankietta urzędowa, która odsłoniła okrutne warunki pracy robotniczej i utorowała drogę do prawodawstwa społecznego.

Okolo roku 1890 robotnicy zaczynają domagać się stanowczo i gwałtownie rozszerzenia praw wyborczych na klasy nieposiadające. Z jednej strony zrozumieli, że muszą mieć przedstawicieli własnych w parlamencie, jeżeli prawodawstwo społeczne ma być na serjo podjęte i dokonane, w poczuciu siły ludu pracującego, a nie tylko ze strachu chwilowego przed hałasującą ulicą; z drugiej strony — robotnik dojrzał politycznie, poczuł się obywatel, równouprawnionym do przemawiania w interesach zbiorowości. Strejkowało wtedy sześćdziesiąt tysięcy robotników. Izba jednogłośnie powzięła uchwały, że prawo wyborcze, niewystarczające, *powinno* być zreformowane. Tym razem ministerjum Beernaerta poparło wniosek rewizjonistyczny: dlatego ponoć został przyjęty. Wniosek podobny *trzykrotnie* przedtem zgłaszany, za każdym razem bywał odrzucany. Tak było w r. 1870. Tak znowu w r. 1883. W r. 1881 czynną była w Belgji *Liga Reformy Wyborczej*, usilnie agitująca za reformą prawodawstwa wyborczego. Wypowiadała się za reformą opinja publiczna. W Izbie zarówno liberali jak katolicy byli jej przeciwni. W r. 1887 przemawiała za reformą radykalna lewica Izby nadaremnie, w r. 1890 przywódca radykałów słynny adwokat Paweł Janson postawił wniosek po raz czwarty. Izba z inicjatywy Beernaerta wypowiedziała się za wzięciem pod rozwagę wniosku o reformie prawodawstwa wyborczego. Jednak od takiego wniosku do uchwały zaprowadzającej reformę — wieczność!

Dwa lata trwały narady i im dalej w lata, tem sytuacja stawała się bardziej beznadziejną. *Beati possidentes* nie chcieli ustąpić bez walki. W oba-

wie, że władza wymknie się im z ręki, że władzę trzeba będzie podzielać z tymi, którzy zostawali za drzwiami parlamentu, czynili wszystko, aby chwilę abdykacji z przywileju wyborczego opóźnić. Dyskusja trwała dwa lata. Nie świadczyła o dobrej woli większości. Gotowano w komisjach wnioski, opracowywano motywy. Gdy wniosek przychodził pod obrady plenarne Izby, większość odrzucała jeden wniosek za drugim. W kwietniu 1893 roku przyszło znowu do rozruchów ulicznych: Bruksella przeżyła wtedy formalną rewolucję. Barykady, trupy, zapelnione więzienia. Na czoło wysunęli się obok socjalistów liberali radykalni, sympatycy socjalistyczni. Burmistrz Brukselli zachęcał do gwałtu, przekonywując tłumy uliczne, że jedyna to droga do wydarcia praw tym, którzy tak zadrośnie, tak egoistycznie strzegą przywilejów swoich. Edmund Picard, słynny adwokat belgijski, uwięziony za zachętę do gwałtu, odbył 48-godzinną kwarantanę w więzieniu brukselskim. Paniczny strach ogarnął Izbę.

Pod wpływem tego strachu przyjęty został wniosek prof. Nyssens'a, który wydawał się środkiem najskuteczniejszym do uspokojenia rozszalałego tłumy. Z obawy przed odpowiedzialnością wniosek ten zbudowany na zasadzie powszechnego *acz nierównego* prawa wyborczego został przyjęty. Głosowało za nim pięć szóstych deputowanych. Namiętności ludowe uspokoiły się nieco. Nie na długo. Powszechne prawo wyborcze ograniczone nierównością głosów wyborczych podniosło znakomicie ilość głosów, zbliżyło wyborców, zbliżyło wszystkie klasy ludności do przedstawicielstwa parlamentarnego, wprowadziło socjalistów do Izby, jednak nie zadowoliło żadnego ze stronnictw w Izbie. W r. 1899 znowu wrzało na ulicach Brukselli: Rząd klerykalny Vandenpeveboom'a chciał zaprowadzić ustawy o przedstawicielstwie proporcjonalnym, ale tylko dla wielkich okręgów przemysłowych (antiklerykalnych), — gdzie dzięki proporcjonalnym wyborom partja klerykalna mogła liczyć na kilka mandatów, którychby w innych warunkach otrzymać nie mogła. Dla mniejszych okręgów (rolnych) miał być zachowany dotychczasowy system wyborczy, który gwarantował pierwszeństwo klerykałom: w ten sposób hegemonja klerykałów miała być utwierdzona, usankcjonowana na długie lata. Odpowiedzią na ten zamach mogła być tylko rewolucja, — a gdy zaczęła być groźną, rząd cofnął swój wniosek.

W końcu roku i z inicjatywy nowego premiera De Smet de Naeyer'a przyjęta została ustawa o *przedstawicielstwie proporcjonalnym*. Żądanie powszechnego i *równego* prawa wyborczego nie schodzi z porządku dziennego stronnictwa radykalnego i socjalistycznego. W r. 1902 dla wydania tego prawa stronnictwo socjalistyczne zorganizowało powszechny strejk, który skończył się przegraną i oficjalnie, przez Vandervelde'a i Bertranda został jako pomysł chybiony uznany. Agitowano i demonstrowano w r. 1906, 1908, 1910. Wreszcie stanął sojusz radykałów i socjalistów, który miał w r. 1912 dać zwycięstwo i sprowadzić na Belgię błogosławieństwo powszechnego prawa wyborczego. W r. 1902 większość klerykalna w Izbie podniosła się z 22 do 30, w senacie — z 14 do 15 głosów. Odtąd większość ta zaczęła się cofać. W r. 1904 Izba składała się z 93 kler., 43 liberałów, 28 socjalistów, 2 chrześc.-demokratów. W r. 1906 — z 89 klerykałów, 46 lib., 30 socjalistów i 1 chrześc. demokracji. W r. 1910 z 84 klerykałów, 44 liberałów, 35 socjalistów, 1 dem. chrz. Większość tedy *prawicowa*

wynosiła — sześć głosów. W r. 1912 — wybrano 101 klerykałów, 44 liberałów, 39 socjalistów, 2 dem. chrześc. Większość wynosić będzie szesnaście głosów.

Konstytuanta belgijska 1830 r. przyjęła zasadę cenzusu wyborczego bez zastrzeżeń. Uchwaliła konstytucję liberalną wprowadziwszy do niej wszystkie gwarancje, wszystkie t. zw. wolności obywatelskie. Ale prawo wyborcze, które uczyniła swoim, było prawem ograniczonym przywilejem. Może dlatego, że konstytuanta była wybrana według modły holenderskiej. Prawodawcy spoglądali na cenzus, jako na gwarancję porządku społecznego. Mniemali, że obywatel, jeżeli ma naprawdę wykonywać obowiązki obywatelskie, powinien być zainteresowanym w sprawach państwa. Jeden z wybitnych posłów Lebeau twierdził, że hasło wyborców nie powinno wychodzić poza klasy średnie, inaczej nie da się uchronić wyborów przed korupcją. „Inaczej będziemy mieli wybory „angielskie“.

Wyborcami byli obywatele belgijscy, liczący 25 lat życia i opłacający podatek od 150 do 13 florenów holend., w zależności od zamożności i uprzemysłowienia dzielnicy. (System monetarny francuski został przyjęty w Belgji w r. 1832). Niezależnie od cenzusu prawo wyborcze czynne posiadali lekarze, adwokaci, sędziowie, oficerowie, duchowni. Ilość wyborców wynosiła na cztery miliony mieszkańców — 40 tysięcy (to znaczy 10 proc.). System wyborczy budził niezadowolenie, jednak dopiero w 1848 roku pod wpływem rewolucji francuskiej i z obawy przed jej echemi w Belgji, rząd liberalny Rogiera pośpieszył zmniejszyć i ujednostajnić cenzus wyborczy do 20 fl., t. j. 42 fr. 32 cent. dla całego kraju. Ilość wyborców wzrastała trochę w kraju wraz ze wzrostem zamożności, jednak w r. 1883 wynosiła tylko 2,14 proc. Jednak w r. 1891 wynosiła tylko 135 tysięcy. Reforma 1893 r. podniosła tę cyfrę do wysokości *miljona trzystu tysięcy wyborców**). Nie-sprawiedliwa i oportunistyczna zawsze stworzyła z parlamentu odbicie krzywe, jednak odpowiadające krajowi, jeżeli nie jakościowo to przynajmniej arytmetycznie. Był to wyłom znakomity. Dalsza demokryzacja jest już tylko kwestją czasu, jest bowiem tylko przedłużeniem linii, na której stanął prawodawca 1893 roku. Jestto linja powszechnego prawa wyborczego.

Dzisiejszy system wyborczy daje przewagę klasie niezależnych rolników, zupełnie przez kler opanowanych. Na chłopie flamandzkim buduje się panowanie rządów klerykalnych i konserwatywnych w Belgji. Pomimo wszelkich ataków radykalnych ta forteca nie prędko będzie zdobyta. Wybory 1912 roku, dokonane pod hasłem „emancypacji“ — najlepszym są tego dowodem. I rok 1910 miał być rokiem *de la délivrance* z jarzma klerykalizmu. Dziś zaraz po porażce zapowiadają nam znowu walkę o ostateczne zwycięstwo zasady powszechności prawa wyborczego. Przepowiednie takie nie są wolne od złudzeń.

Panowanie klerykałów nie jest oparte tylko na gwałcie, na ciemnocie, na hegemonji konfesjonatu. Oparte jest przedewszystkiem na poważnej robocie organizacyjnej. Klerykali naśladują aż do drobiazgów socjalistów. Zakładają kooperatywy, związki zawodowe, związki śpiewackie, orkiestrowe, sportowe. Stwarzają dla wyznawców kasy pomocy, banki ludowe, troszczą się o postępy

*) Przed rewizją 1893 r. jeden wyborca wypadal na 47 mieszkańców. Po rewizji jeden — na 5 mieszkańców.

w dziedzinie hodowli nasion, inwentarza, urządzają teatry ludowe. Ludność włościańska ogarnięta jest siecią wpływów, których przebić socjaliści dotąd nie mogą. Rewizja konstytucji może być dokonana większością dwu trzecich głosów. Klerykali od lat 28 mieli zawsze większość, w latach najgorszego upadku większość ta spadała do 6 głosów. W r. 1912 większość ta podniosła się do 16, ale i w r. 1912 liberali i socjaliści liczyli tylko na 20 głosów większości w odnowionej wyzwołonej Izbie. Słowem, jeżeli nie zajdą okoliczności nieoczekiwane, Belgja nie prędko spodziewać się może powszechnego prawa wyborczego.

Stanisław Posner.

NAD SEKWANĄ.

(Korespondencja własna „Przegl. Wil.”).

Paryż, w czerwcu.

Przełomowa epoka, syntezująca w sztuce społecznej walkę z szablonem akademizmu, zbyt jest nam jeszcze bliska, byśmy w stosunku do niej zdołali się uchronić od nieodzownych błędów perspektywicznych.

Cezanne i Gauguin, walczący, by przywrócić zatraconą wielkość sztuce, wskazali szersze jej cele, niż malarstwo stalugowe. W swych poszukiwaniach szlachetnego transponowania natury i abstrahowania z niej tego, co wieczne, znaleźli szybko zwolenników. Byli wśród nich tacy, co istotnie pojmowali zadania mistrzów, lecz także nierzadko nieudolni naśladowcy, utożsamiający syntetyczne oddanie linii i barwy z anarchizycznym bezładem. Chaos tego rodzaju jest zresztą nieuniknionym w każdej epoce walki i formacji.

Epoka taka — dla ujęcia jej — więcej niż wszelka inna — potrzebuje perspektywicznego oddalenia. Nerwowość czasu nie umiała niestety zdobyć się na cierpliwość. Powołani i niepowołani krytycy uderzyli na alarm wobec sztuki takich „dzikich“ (fauves) lub „kubistów“. To zaś z kolei wywołało nową reakcję — niebezpieczny zwrot ku wyklinanym bogom starego akademizmu.

Może nigdzie nie uwidocznią się to lepiej, niż w salonie Marsowym. Do niedawna jeszcze salon ten gromadził niezadowolonych, co się usunęli z salonu Elizejskiego, pragnąc tu szerzej odechnąć, oraz tych, którzy rozpoczynawszy swój debiut u Niezależnych przeszli okres poszukiwań, by określić się bardziej stanowczo, inaczej mówiąc, znaleźli odrębny, właściwy sobie styl. To — nadawało temu salonowi specjalny charakter.

Dziś — trudno go odnaleźć tutaj — tak w ogólnym swym charakterze zbliża się sztuka Marsowego do akademickiej sztuki „artystów francuskich“ czyli salonu Elizejskiego. Mówię o ogólnym charakterze — bowiem naturalnie i dziś znajdziemy tu jednostki o indywidualności silnej i talenta, które same sobie są kierunkiem i szkołą. Do takich zaliczyłabym przede wszystkim: w malarstwie — Maurycego Denis, Zuloage, Bielera, Karola Collet, zaś w rzeźbie — Bourdelle'a i Despiau.

M. Denis dał tym razem pięć panneaux dekoracyjnych, złączonych w jeden cykl p. t. „Wiek złoty“. Szlachetne ujęcie, subtelne barwy, siła rysunku, a głównie doskonale zrozumienie wymagań malarstwa ściennego wyróżniają jego kompo-

zycje. Może najbardziej doń zbliża się Aman-Jean — choć brak mu owej wielkości linii w traktowaniu całości. Niemniej ogromny jego fresk przeznaczony do amfiteatru nowej Sorbony, a wyobrażający cztery żywioły — ma duże zalety malarskie, zaś w tonowaniu barw przypomina szlachetną sztukę Puvisa'a de Chavannes'a.

Bieler — dał piękną kompozycję: „Woda tajemnicza“. Wokoło studni — czy źródła — wieniec kobiet. Bogactwo rysunku, niesłychanie ornamentacyjne traktowanie sukien, kapryśne, węzowe linie tworzą cudowne wprost arabeski; mają w sobie coś z Bardsley'a. Całość — stanowi piękną, dekoracyjną plamę.

W dziale portretów widzimy: wytwornego Caro Delvaillesa; kto szuka większej rafinerji, a nawet powiem, specjalnej perwersji — ten znajdzie je w sylwetkach kobiecych niezrównanego wirtuoza Boldiniego. Mamy tu zresztą i w tym roku urzędowego Carolus'a Duran.

Niezależnych reprezentują tutaj: H. Desiré, Flandrin, K. Guerin, Lebasque, Le Sidaner, Manguin. Do tej grupy możnaby zaliczyć i Żaka — z polaków — choć jest on bardziej odrębny. Wyszli oni wszyscy z Cezanne'a, Gauguin'a, japońskich estampów, w części — z prymitywów. Dają uogólniający, syntetyczny rysunek, szerokie pojęcie kompozycji, jako ściśle tłumaczącej się budowy.

Wysoka kultura artystyczna, swoboda pędzla, a przytem mistrzostwo w oddawaniu silnych stanów psychicznych bez uciekania się do jaskrawości melodramatycznej — widnieje w „Chrystusie“ Zuloagi. Jest w tej kompozycji cała przeszłość Hiszpanji — z jej kulturą, czarną i krwawą inkwizycją kleru, fanatyzmem ludu, ciemną, tępą, okrutną obojętnością, a jednocześnie — temperament południa, tradycja i kultura maurów, wykwiint malarstwa Velasqueza i Greca (Domenico Theotocopuli). Tak, Greca — przede wszystkim. Czar sztuki jego wyczuwa się z tej kompozycji.

Zanim przejdziemy do rzeźby — musimy tu zaznaczyć jeszcze salę przepysznych sztychów Reckhama, ilustrujących wagnerowski cykl Niebelungów.

W dziale rzeźby pierwszeństwo musimy oddać „Penelopie“ Bourdelle'a. Dzieło — piękne — choć nieco przestylizowane. Bourdelle, czerpiący natchnienie ze średniowiecza, z gotyku, tym razem już samym wyborem tematu pociągnięty został ku klasycznej rzeźbie greckiej. To zestawienie wywołało z konieczności pewne załamania. W każdym bądź razie — jest to najsilniejsza rzeźba salonu. Tuż — postawiłabym portrety Despiau — a potem — silną, wspaniałą w robocie „Ewę“ — Wittiga.

Z polaków, prócz Wittiga, wystawili w rzeźbie: Biegas — bardziej niż zwykle spokojną w liniach i pełną harmonji kompozycję „Szopen“, dalej Broniewska — portrety, w których znać dobrą szkołę Bourdelle'a, Jackowki — głowę pełną wyrazu, Kraiński — głowę kobiety silną w robocie, Łuczanski — portret, Sobczak — pięknie, syntetycznie wzięte głowy górala i góralki; wreszcie wystawili — Twardowski, Żółtkiewicz, Medwecki.

W dziale malarstwa przede wszystkim musimy wymienić Boznańską. Portrety jej i tym razem mają urok jakichś wizji zaświatowych o skoncentrowanym wyrazie w oczach; Mutermilchowa dała pejzaż; Pilichowski — „Pietę“; młody Styka (syn) — portret rodziny swej — swobodny w układzie figur, posiadający duże zalety malarskie, na-

wet jeśli nie zgodzimy się z manierą artysty tego; Jakimowicz „Fragment“ — o rysunku pięknym i pełnym wyrazu; Stanisławska — dobry portret artystki-rzeźbiarki; p. B. Gotlieb — portret; wreszcie Czajkowski dał wnętrze kościoła; Karbowski — martwą naturę i kwiaty, Cerkiewicz — portret.

Niespodzianie zupełnie umieszczona w b. niekorzystnych warunkach (w odosobnionej, mało uczęszczanej sali koncertowej) spotykamy piękną kompozycję Jacka Malczewskiego. Katalog głosi: Malcewski! Silna, odrębna zupełnie indywidualność artysty — chroni nas jedynie od pomyłki i bezwolnego zlekceważenia.

Mówiąc tutaj o salonie Niezależnych i Marsowym — określiłam już niejako charakter salonu Elizejskiego. Salon ten, jak widzieliśmy, z natury rzeczy zasklepiiony w ciasnym kole tradycji — niedopiszcza żadnych nowych prądów. Panuje tam najdoskonalszy ustrój biurokratyczny; stopnie, odznaczenia, wstążeczki, krzyże, medale — nawet najzdolniejszego artystę zmanierować muszą. Któż bo dobrowolnie zechciałby pozbawić się tych nieocenionych wartości — tymczasem grozi to każdemu, kto chciałby się dobrowolnie wysunąć z szeregów. Z drugiej strony artyści owi posiadają skończoną znajomość *metier*, tak, iż kogoś nieobojętnego wprost rozpacz ogarnia, gdy widzi to wszystko wprzęgnięte własnowolnie w służbę szablonu i akademickiej wciąż tej samej manieri. Te słodkie w tonie pejzaże, akty kobiece, albo znów batalistyczne maszyny, w których jest wszystko prócz ducha wojny — ileż razy wszystko to oglądaliśmy.

Rzeźba — zajmuje tutaj olbrzymią środkową rotundę wielkiego pałacu. Całość — przyznać trzeba — wygląda bardzo gustownie na tle zieleni krzewów. Górne, doskonałe oświetlenie sprzyja wrażeniu, rozmieszcza bowiem wspaniale na tych olbrzymich blokach marmuru, kamienia lub rzadziej gipsu — wspaniale światła i cienie. Gdy się patrzy z któregośkolwiek z górnych krużganków — efekt jest wprost bajeczny. W większości jednak jest to, gdy rozpatrzymy się bliżej, specjalny rodzaj rzeźby na efekt. Uderza widza przedewszystkiem pięknym materiałem, wykwiśniętym wykończeniem, ogromem mas, to znów wyrafinowanym pomysłem.

Z polaków wystawiających tutaj dał zdolny bardzo i znany ogólnie artysta Zandrowski — portret oraz kompozycję zegaru z brązu p. t. „Czas i godziny życia“. Pozatem hr. Kwilecki z Poznania wystawił b. wdzięczny portret córki artysty p. t. „Maja“.

W dziale malarskim ze znanych szerszemu naszemu ogółowi spotykamy prace Styków — ojca i syna (Jan — dał portret Tolstoja), dalej Alfred Wierusz Kowalski — „zglodniałych wilków“. Wystawili tu również: Gałęzowska, Grabowska, Krajewski, Kurnatowska, Makielski, Markiewicz i Poraj Biernacka.

Wacława Kiślańska.

Jubileusz działacza litewskiego.

Litwini w r. b. obchodzą uroczyste 60-letnią rocznicę urodzin jednego z najwybitniejszych działaczy swoich, twórcy ruchu litewskiego, dr. Jana Basanowicza. Dzień uroczystości wyznaczony zo-

stał na 11 b. m. ze względu na przypadający w tym czasie zjazd doroczny członków Litewskiego Towarzystwa Naukowego, którego prezesem jest jubilat. Wszystkie grupy i kierunki litewskie, cała prasa łączy się w tej uroczystości dla nadania jej cechy narodowej.

W osobie dr. Jana Basanowicza uczucie pragną litwini nie przedstawiciela tego lub innego kierunku politycznego, na tym bowiem gruncie między jubilatem a poszczególnymi odłamami społeczeństwa litewskiego zachodzą niewątpliwie poważne różnice przekonaniowe, ale człowieka, którego imię popularne łączy się z najwybitniejszymi momentami odrodzenia narodowego i przedewszystkiem z powstaniem w r. 1883 pisma „Ausra“ („Jutrzenka“), stanowiącego punkt wyjścia dzisiejszego ruchu narodowego litewskiego.

Imię dr. Jana Basanowicza znane też jest społeczeństwu polskiemu na Litwie, ale znane, niestety, niemal tylko jako imię przywódcy nacjonalizmu litewskiego w jego postaci skrajnej. Dla wielu polaków dr. Basanowicz — to jeno postać symboliczna nienawiści do wszystkiego, co polskie. Imię Basanowicza wymawia się zwykle równorzędnie z imionami ks. Ambrożewicza lub p. Mieczysława Dowojno-Sylwestrowicza, jako namiętnych szermierzy ślepej nienawiści narodowej.

Istotnie dr. Jan Basanowicz jest nacjonalistą jaskrawym; stąd niektóre jego wystąpienia zyskały mu u polaków opinię powyższą. Basanowicz — nacjonalista zasłonił Basanowicza — patryjotę.

Niewątpliwie jednak ujemne cechy nie stanowią istotnej jego wartości.

Jako jeden z najwybitniejszych pionierów ruchu litewskiego, któremu jest oddany duszą i sercem, zdołał on dwukrotnie w życiu stanąć w kapitalnych chwilach przesilenia na czele całego procesu odrodzeniowego. Te dwa kapitalne momenty, czyniące zeń dla litwinów historyczną postać narodową, — to nie jakieś ekscesy nacjonalizmu, które do historii nie przejdą i sławy mu nie przynoszą, — to 1) założenie w r. 1883 na terytorjum pruskim w warunkach niesłychanie ciężkich pierwszego pisma narodowego — „Ausra“, które się stało pierwszym obowiązkiem pracy zrzeszonej i dała punkt wyjścia do rozwoju ruchu litewskiego, jako dzieła zbiorowego, i 2) hasło zwołania w r. 1905 w Wilnie wielkiego zjazdu litewskiego, który odegrał wybitną rolę w rozwoju ruchu tego, formułując niejako program postulatów społecznych i kulturalnych odradzającej się Litwy włościańskiej.

W zakresie tych dwóch zjawisk, stanowiących dwa drogowskazy historyczne ruchu litewskiego, osoba dr. Basanowicza zasługuje na szacunek.

W chwili, gdy litwini hołd mu oddają z okazji 60-letniej rocznicy urodzin, podnosząc te jego zasługi, zapomnieć należy uprzedzenia i żale względem jubilata, jako nacjonalisty i podnieść to, co w jego dziele życiowym jest trwałego i co w przyszłości wyda owoce dla dobra kraju naszego.

Prócz powyższych zasługą też kulturalną dr. Basanowicza jest założenie Litewskiego Towarzystwa Naukowego, które w obecnym stadium rozwoju kulturalnego litwinów jest dla nich instytucją wagi pierwszorzędnej.

W latach ostatnich dr. Basanowicz, który zresztą przez całe życie swoje był dość samotny

i w ramach jakichś partji określonych się nie układał, usunął się od czynnego udziału w walkach politycznych i oddał się głównie pracy w swem ulubionem Towarzystwie Naukowym.

mr.

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

Z księgi ciszy.

Co mówi pieśń.

*Żelazną rudę trosk, co zwa się życiem,
I złoty kruszec świętej serca męki,
Potęgą woli niby młota biciem,
Przekutem w strofy, przetopilem w dźwięki.*

*I na kowadle losu strofa bita
Ma w sobie wszystko, com odczuwał wcześniej:
Żelazo życia w każdej nucie zgrzyta,
A złoto uczuć — jest melodją pieśni.*

Kiedyś.

*„I znów spotkamy się, gdy ranek wstanie
Z przebudzeń zorzy i omamień nocnych;
Gdy śzał nas porwie jak wir na otchłanie,
A dusza będzie pełną uczuć mocnych;
Tylko przygotuj mi na powitanie:
Plomienne słońce i kwiat drzew owocnych!..“*

*Uludy ranków i sny godzin biega
I z nich tkanicę swą niepamięć plecie;
Mijają słońca te, co wiosen strzegą,
Blask w białe sadów przetapiając kwiecie.*

*Lecz nie wróciła już do serca mego:
Spotkania placem była młodość przecie.*

Wystawa krajobrazu.

„Przy poznawaniu nieznanego człowieka, przede wszystkim zwrócić musimy i zwracamy uwagę na jego oblicze, by z niego wyczytać tajniki jego duszy, upodobań, uzdolnień, jego składnik życia fizycznego i duchowego. Powierzchny rzut oka na oblicze człowieka ułatwia nam niekiedy dokładniejsze jego poznanie.

„Krajobraz dla człowieka, umiającego nań patrzeć, czytać z niego i rozumieć go — jest takim właśnie obliczem ziemi“.

„Krajobraz również ma inne, niemniej doniosłe znaczenie — on decyduje o pięknie przyrody ojczystej, on jest źródłem najczystszych wzruszeń estetycznych, z niego się rodzą wszelkie produkcje artystyczne“.

Wychodząc z założeń powyższych, skreślonych we wstępie do programu, Polskie T—wo

Krajoznawcze urządilo w Warszawie wystawę krajobrazu polskiego.

Obfitość okazów zgromadzonych i planowość w ich rozmieszczeniu nadały wystawie charakter naukowo-krajoznawczy i uczyniły z niej przedsięwzięcie, mające wielką doniosłość kulturalną. Wystawa krajobrazu, urządzona staraniem artysty-malarza p. St. Jarockiego w Wilnie, jest nieudolną imitacją wystawy warszawskiej i zadania swego nie spełnia. Winą tego jest jej zupełna bezprogramowość.

Skoro brak środków nie pozwolił na przeniesienie zbiorów warszawskich w całości, należało określić sobie cele skromniejsze i poprzestać na zobrazowaniu krajobrazu litewsko-białoruskiego i w tym zakresie zgromadzić wszystko, co się dało, uzupełniając nawet wystawę warszawską. Wówczas wystawa stanowiłaby ciekawy przyczynek do poznania naszego kraju.

Inicjatorowie wystawy poprzestali na dowolnym i przypadkowym wyjęciu z całości warszawskiej części okazów fotograficznych i uzupełnili je dorobkiem społecznych malarzy wileńskich, odejmując przez to wystawie charakter pouczający.

Nie istnieje na wystawie cały dział retrospektywny, dający ciekawe dokumenty krajobrazów uległych dziś zmianie. Niema również w Wilnie koniecznego takiej wystawy uzupełnienia: działu bibliograficznego, bogato w Warszawie reprezentowanego pod postacią podręczników oraz wydawnictw ilustrowanych, zaczawszy od albumu Napoleona Ordy, a skończywszy na licznych dziełach francuskich, niemieckich i angielskich, dających obfity materiał do studjów krajoznawczych.

W Wilnie ów całokształt warszawski rozbił się na dwie niezbyt liczne grupy: malarski i fotograficzny.

W pierwszym — rażąca luka stanowi brak zupełny obrazów Ruszczyca i Weyssenhoffa — najwybitniejszych naszych pejzażystów. Niema również malarzy litewskich, co zresztą jest zrozumiałem wobec funkcjonującej jednocześnie wystawy artystycznej litewskiej. Natomiast sporo jest dzieł „minorum gentium“.

Zaciekawiają najbardziej dwie debutantki, jeśli się nie mylę, uczennice p. St. Jarockiego. Pp. Sienkiewiczówna i Stankiewiczówna dały szereg obrazków, których im można szczerze powinszować. Niema w nich maniery ani sztucznej pozy. Należy się uznanie kierunkowi, który utrzymać potrafił młode artystki na drodze ich szczerego natchnienia. P. Stankiewiczówna ma więcej rozmachu i temperamentu: jej kwiaty i pnie drzew odbite w wodzie są malowane ze świeżością i odczuciem, zaś p. Sienkiewiczówny śliczny domek o czerwonym dachu wśród kwitnących bzów i jabłoni oraz Niemen mają nastrój poetyczny i subtelny koloryt.

Zaraz po nich należy wymienić p. Zofję Römerową (Dembowską). Jej zimowe studja — pastele drzew tulących się w puchy śniegowe, nagie, ciekawe w zagmatwanym rysunku konary stuletnich dębów, a nadewszystko jej senne, tęskne, jak niewyraźne marzenie jezioro, porośnięte rudą trzcina i zasnuć krzepnącą w szron mgłą, jest doskonałe pod względem i kolorytu i perspektywy.

Nie można tego samego powiedzieć o p. Helenie Römerównie. Jej zielony stawik jest co prawda wcale dobry, acz trochę zbyt gładki i przypominający oleodruk, lecz natomiast „Zima“ ma niedbale rysowane drzewa i wodę jak z blachy,

a koloryt nieszczery; nie znać na tem stujów z natury, a pamięć zawodzi często.

By już, oddając pierwszeństwo paniom, skończyć z niemi, wspomnę o utworach hr. Marji Broel-Platerowej. Są to przyjemne „na własny użytek“ obrazki—wspomnienia spacerów i wycieczek, nie objawiające talentu, ale mogące być sympatyczną ozdobą własnego buduaru.

Z malarzy właściwie jest tylko dwóch, bowiem małe, nikłe studjum Dąbrowskiego i zablakana akwarela soczysta, jak zwykle, Masłowskiego, nie zatrzymuje dłuższej uwagi.

Właściwie więc mówić wypada o pp. Jurjewiczu i Jarockim.

Ten ostatni, jako -inicjator wystawy, ratuje jej ubóstwo ilością własnych dzieł. Są tam niezaprzeczenie dobre studja okolic litewskich. „Krzyże“—większa kompozycja jest efektowna na tle dalekich łąk i pól w żółto-zieloną szachownicę), „Deszcz i pogoda“ (ten sam krajobraz w czasie ulewy i w słońcu) jest ciekawym eksperymentem. Zarzucić trzeba p. Jarockiemu, że gdy wychodzi poza szkice z natury, w większych kompozycjach staje się sztywny i zimny—takim jest obraz „Dziewczyna w łódce“. To samo mniej więcej da się powiedzieć o p. Jurjewiczu. Jego studja i szkice są wcale niezłe kolorystycznie, ale gdy chodzi o większy obraz, o dalsze plany i dokładniejszy rysunek, ręka zawodzi artystę i daje on nam rzeczy niedołęzne.

O dziale fotograficznym, stwierdziwszy, że jest niekompletny, t. j. że nie daje pojęcia o żadnym terytorjum, ani żadnem mieście, możemy dodać, że to co jest, stanowi zbiór zajmujących okazów sztuki fotograficznej, doprowadzonej do granic sztuki. Prym trzymają tu prace p. Jana Bułhaka, który komponuje swoje zdjęcia jak malarz obrazów, tak umie wybrać efektowne światła i cienie oraz kąciaki puszczy parków, dróg lub jezior.

Sądzę, że dział ten jest o wiele mniej liczny i mniej zajmujący, niż by mógł być przy lepszej organizacji wystawy. Przesyłanie fotografii jest tak łatwym, rozmieszczenie takowych również, że amatorowie mający setki zdjęć w swych albumach musieli by udzielić tych skarbów dla zapoznania nas z niejednym zakątkiem naszego kraju kryjącego zazdrośnie swą tajemniczą piękność do chwili, gdy ją zniszczy bezpowrotnie wycięcie lasów lub sprzedaż dworu w obce ręce.

Więc -- szkoda.

Pomimo wszystkich braków wymienionych wystawę zwiędzi warto. Może obudzi ona w niejednym umiłowanie krajobrazu rodzinnego i zachęci do studjów nad nim w naturze.

Miron.

TEATR LETNI.

Wyraz sztuka — jest dziś nadużywany, jak nadużywane jest też i miano artysty. Artystą zwie się każdy, kto pokazuje... sztuki.

— Czem się pan zajmujesz?

— Jestem artystą.

— Jakim?

— Występuję w tinglu z tresowaną małpą.

— O!..

— W tym roku pokażę wyjątkową sztukę. Mojego Dżoka ubieram w trójgraniasty kapelus

i frak z białą kamizelką. Będzie nosił jedną rękę z tyłu, drugą wetknie palcami między guziki kamizelki. Dziś Napoleon w modzie,

Tych samych metod trzyma się większość „twórców“ sztuk jubileuszowych, ukazujących nam Bonapartego. Publiczka ciekawa, żywych anegdot moc, perukę z „siódemką“ każdy teatr ma na składzie... Więc jazda!

Do nich należy i pan Ryszard Voss.

Fabulę dramatu wziął świetną.

Wyobraźcie sobie niewiastę, która przez dwadzieścia lat żyje wspomnieniem kilku dni, spędzonych z bohaterem. Pozostawił jej syna i dumę z tego, że przez chwilę była najbliższą istotą, wybranką męża, przed którym drży Europa. A oto niespodzianie moczarsz ten wraca. Przybywa z Elby, wierząc, iż samym wzrokiem swego imienia rozbije koalicję.

Hrabina de Saint Aubonne staje między szlachetnie uwielbianym kochankiem i synem swym—jego synem również—który, nie wiedząc o swem pochodzeniu, należy do wrogów cesarza i ma wykonać nań zamach.

Prawdziwa to historia, czy nieprawdziwa—rzecz podrzędna; dla sztuki ma ona taką samą wartość, jak kwestja, czy mundur Napoleona został przez krawca wiernie skopjowany. W każdym razie motyw dramatu daje bogatą sposobność do roztoczenia olbrzymiej skali zmagających się uczuć, do wykazania załamań charakterów niezwykłych i w niepowszedniej znajdujących się sytuacji. Lecz p. Voss okazję tę przeoczył; szło mu o pokazanie Napoleona, o popularny efekt, więc temat zmarnował. Zmarnował pół pierwszego aktu na opowiedzenie nam szczegółów o dawnym stosunku hrabiny, która nie mogąc wygadać się ze wszystkiego przed swym marszałkiem dworu, kończy niedyskretne zwierzenia wobec ks. Piotra, wchodzącego po to tylko, by dalszy ciąg monologu nie odbywał się do tapety. Przykład jeszcze większego marnotrawstwa daje akt trzeci. Sytuacja jest taka: Napoleon pokonany; syna Hrabiny aresztują—ma być rozstrzelany.

Prawdziwy talent dramatyczny stworzył by w tem miejscu scenę wstrząsającą. P. Voss daje nam strzał za sceną; strzał, na który każe sporą chwilę czekać, ożywiając ją mdłym djalogiem Hrabiny i Napoleona.

Ten strzał w dramacie — to kryminał. Czyni on ze sztuki najzwyczajniejszy melodramat, w którym efekt zewnętrzny zastępuje środki artystyczne.

Niemniej „Upadek Lwa“—jako rzecz wcale niezłe trafiać mogąca do gustu publiczności niedzielnej—schodzić z afisza nie powinien. Grubą robotę autora znacznie uszlachetnić tu może wykonanie aktorskie.

Data nam tego dowód p. Żbikowska. Rola Hrabiny jest trudna; momenty uczuciowe przez autora nie wyzyskane. Mimo to, zdolna artystka potrafiła ożywić postać bohaterki i na pierwszy plan ją wysunąć. Tym sposobem p. Żbikowska poniekąd uratowała dzieło p. Vossa, który zupełnie, zda się, nie spostrzegł, że jeżeli „Upadek Lwa“ ma mieć wartość dramatu, to przedewszystkiem rozgrywać się winien w duszy hrabiny, która też musi być osią sztuki. Słowem—gra p. Żbikowskiej zasługuje na pełne uznanie.

O wykonaniu roli Napoleona powiedzieć się to nie da. P. Leśniewski zgubił ją w debatach, w imitowaniu zewnętrznych, legiendą przekaza-

nych, cech Napoleona. Pamiętając przedewszystkiem o dobitnym frazowaniu, gwałtownych ruchach i charakterystycznym trzymaniu rąk, artysta dał nie żywego człowieka, ale marjonetkę. Zapominać nie wolno, że sztuka aktorska, jak każda wogóle sztuka, nie polega na wiernej imitacji. Jak fotografja sama przez się nie zastąpi obrazu, tak też ściśle kopjowanie postaci nie da jej syntezy. Nadto zważmy, że Napoleona ściśle kopjować nie można, bo go z nas żywego nikt nie widział; rysy zaś charakterystyczne wielkich ludzi, zachowane w tradycji, zwykle ujmują nie kontur istotny, ale karykaturalny. Aktor więc, hołdujący tego rodzaju „wierności historycznej“, wpada zazwyczaj w bezwiedną szarżę.

Rolę Maria, młodego hr. de Saint Aubonne, wykonał poprawnie, miejscami z pewnym nawet wdziękiem, p. Cornobis.

W dziale operetkowym mieliśmy dobrze już znane Wilnu „Manewry Jesienne“, które naogół odegrano ładnie.

Premjera istotną była nadzwyczaj melodyjna, miła operetka Offenbacha: „Zaczarowane skrzypce“. Rzetelny popis miał w niej p. Myszkowski, który śpiewał nadspodziewanie i grał po mistrzowsku. Z werwą sekundował mu p. Krawczyński. Natomiast dyrekcja powinna stanowczo unikać tak niefortunnych eksperymentów, jak pokazywanie p. Jankowskiej w roli, bądź co bądź, odpowiedzialnej — Georgetty.

Prawdziwym sukcesem dyrekcji p. Oranowskiego było wystawienie opery Mascagni'ego „Cavalleria Rusticana“. Role naczelne: Santuzzy (p. Kamińska-Latoszyńska), Turrida (p. Orzelski) i Alfa (p. Szczuka) oddane były bardzo dobrze, zarówno pod względem wokalnym, jak i dramatycznym. Pomyślnie również wywiązały się z zadania odtwórczyni postaci drugoplanowych: pp. Brochwicz (Lola) i Skrzycka (Lucia).

W całości czuć było staranną reżyserję i nader sumienne potraktowanie szczegółów. Chóry i orkiestra tworzyły pod batutą p. Kagana sforny zespół. Dodać tu trzeba, że rolę Alfa dublował następnie p. Bem, z zupełnem powodzeniem z niej się wywiązując.

B. H.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Ignacy Radliński. *Katolicyzm, Modernizm i Myśl Wolna*. Warszawa 1912.

Książka p. Radlińskiego jest dokładnym i jasnym komentarzem dzieł słynnego paryskiego księdza Alfreda Loisy, twórcy t. zw. modernizmu katolickiego. Poprzedza autor sprawę Loisy, wyjaśnieniem dwóch zbiorowych protestów: włoskiego i francuskiego, wymierzonych przeciw encyklice „*pascendi dominici gregis*“. W dekrete potępiającym sześćdziesiąt pięć modernistycznych twierdzeń, pięćdziesiąt cztery wziętych jest z dzieł Loisy. Przeto wystąpienie francuskiego reformatora stanowi niemal wyłącznie samoobronę jego własnej krytyki historycznej Kościoła.

Między innymi Loisy w swem dziele skromnie nazwanem „*Autour d'un petit livre*“ dowodzi, że

Zmartwychwstanie Zbawiciela „nie jest właściwie faktem w rodzaju historycznym; lecz nadnaturalnym“ i że nie podobna go dowieść historycznie, po za faktem wiary. Otóż św. Kongregacja przeistoczyła to twierdzenie Loisy w zaprzeczenie bezwzględne, gdy on pisał tylko o niemożności udowodnienia Zmartwychwstania Jezusa. Choć niewątpliwie istnieje różnica między bezwzględnym zaprzeczeniem jakiegoś faktu a niemożnością dowiedzenia go historycznie (bo tam zaprzeczenie jest stanowczem stwierdzeniem negatywu a niemożność dowiedzenia pozostawia jeszcze pewną otwartą drogę do dalszych poszukiwań) wszelako w danym wypadku, gdy chodzi o sprawę tak niesłychanie czułą, różnica polega na subtelnym od-cieniu tylko, na pewnej dialektycznej delikatności. Bo też wogóle cały ton samoobrony Loisy,ego mieści w sobie niezmierną kulturalność formy ze stanowczością postawionego argumentu.

Ostatnie przeżycia ks. Loisy w całej tej ważnej sprawie, definjuje Radliński jako wielki dramat wielkiego umysłu. Kto pragnie zapoznać się z niezmiernie ważnym faktem „modernizmu“ zmierzającym do reformy kościoła katolickiego w Europie, winien przeczytać książkę Radlińskiego.

J. Władysław Dawid. *O duszy nauczycielstwa*.
Kraków 1912.

Autor tej rozprawy stawia przed obliczem nauczyciela postulaty pierwszorzędnej wagi, nie tylko umysłowe; ale i ściśle moralne. Można być bardzo pożytecznym, zdolnym budowniczym, będąc człowiekiem złym. Podobnie inżynier przebijający tunele. I biegły lekarz może być jednostką lichą, choć chętniej leczymy się u doktora, do którego mamy i moralne zaufanie; a przecie nieraz znów zasięgamy przygodnie rady wybitnego eskulapa, nie znając wcale jego moralnej wartości. „A już nauczyciel — zły człowiek, jest sprzecznością, w samem określeniu niemożliwością“. Bo wychowawca świadomie lub bezwiednie, pragnie (to jego misja), aby uczeń stał się do niego podobny, aby urzeczywistnił jego typ bez jego braków i słabości. Im sam doskonalszym jest, tem doskonalszym będzie jego uczeń, intelektualnie i moralnie.

Ale autorowi chodzi nie tylko o wychowawcę wogóle. Chodzi mu o pedagoga w naszych społecznych warunkach. Człowiek zaś etyczny winien być przedewszystkiem sobą, w zgodzie z sobą, unikać wewnętrznych sprzeczności. Czy takim może on być w warunkach naszych? W najlepszym razie wytwarza się życie dwoiste. Gdy człowiek w wielu sytuacjach z przyczyn zewnętrznych nieony jest zaparciem się zasad — w następstwie tego traci siłę w nawet w położeniach, gdy pobudki zewnętrznej niema. Antidotum doszukuje się autor w budzeniu i kształceniu odwagi cywilnej. „Odwaga zaś jest jedną z najbardziej tajemnych przejawów ludzkiej natury.“ Wychowywać odwagę jestto wychowywać głębokie życie duchowe.

Dwa pierwiastki przenikają niezmiernie wartościową rozprawę p. Dawida: przekonujący rozum i szlachetność. Niektóre zdania mają charakter ześrodkowanych aforyzmów.

Sądzę, że odpowiedniejszym byłby tytuł: *Dusza nauczyciela*.

D. Zgl.

PRASA POLSKA.

— Komitet centralny Związku Katolickiego w Królestwie Polskiem ogłosił, za pośrednictwem „Słowa“ i „Kurjera Warszawskiego“, oświadczenie przeciw „Zjednoczeniu Postępowemu“, z powodu znanej odezwy w sprawie „Zarania“. Oświadczenie to zawierało, między innymi, takie uwagi:

„Z góry powiedzmy, zgodnie z faktycznym stanem rzeczy, że wspomniane zarządzenia są aktami ścisłe religijnymi, dotyczącymi wyłącznie wyznania wiary rzymsko-katolickiej. Poddawanie publicznej krytyce podobnych aktów wyznaniowych, zwłaszcza na forum polityczno-partyjnym, wytwarza, że pominiemy inne względy, wielce niebezpieczny precedens w znaczeniu tadu i porządku publicznego“.

Oświadczenie kończy się następującą uwagą:

„Wzmrożona ostatnio agresywna i niepomierne zachowała działalność „Zjednoczenia Postępowego“ przeciw religii olbrzymiej większości społeczeństwa, musi wywołać oburzenie nie tylko wśród katolików, ale i wśród wszystkich rozumnych uczelnych ludzi. Wszelka bowiem pogroźka organizowania walki wyznaniowej jest akcją wicherzycielską, wskroś antyspołeczną“.

Walka z powodu „Zarania“ weszła tedy na widownię publiczną, jako fakt społeczny poważnej doniosłości.

W sprawie tej ważnej zabrał głos „Goniec“, który, oczywiście, do „Zjednoczenia Postępowego“ nie należy i nie może być wogóle pomówiony o „organizowanie walki wyznaniowej, wicherzycielskiej i antyspołecznej“.

Oto, co jednak „Goniec“ między innymi pisze:

„Fakt użycia broni religijnej przeciw tygodnikowi „Zaranie“ i reprezentowanemu przez nie ruchowi ludowemu, ma wielką doniosłość społeczną i powinien wzbudzić poważniejsze zajęcie w opinii publicznej. Umyślnie powstrzymywaliśmy się przez czas niejaki od dotykania tego drażliwego przedmiotu, ażeby w najmniejszej mierze nie przyczynić się do zaostrzenia zatargu, ażeby ułatwić właściwym czynnikom naprawienie błędu i wycofanie się z sytuacji, do której wcale nie należało doprowadzać.“

Nadzieje te wszakże zupełnie zawiodły, fakt pozostał faktem i został nawet przez niektóre organy otrąbiony, jako usprawiedliwiony dowód stanowczości ze strony władzy kościelnej. Czas tedy najwyższy, ażeby wypowiedziały co do niego zdanie te koła, którym leży na sercu dobro i rozwój naszego ludu.

Przedewszystkiem dać należy stanowczą odprawę twierdzeniu, jakoby owe represje religijne stanowiły sprawę wyłącznie religijną, nie podlegającą ocenie publicystycznej. Rzecz się ma wprost przeciwnie. Taki lub inny kierunek ruchu ludowego lub jego odłamu, stanowi kwestję społeczną, najzupełniej świecką. To, że przeciw odpowiednim objawom wystąpiła władza duchowna i użyła przeciw nim broni kościelnej, nie zmienia bynajmniej znaczenia faktów, nie usuwa ich społecznego podłoża oraz charakteru i nie usuwa obowiązku kontroli ze strony opinii publicznej. Gdybyśmy władzy kościelnej przyznawali prawo szafowania klątwami i zakazami względem wszystkich objawów życia zbiorowego, które danemu biskupowi nie przypadają do gustu, to w konsekwencji musielibyśmy się zgodzić na poddanie wszystkich stosunków społecznych rządowi kleru. On bowiem miałby wyrokować: 1) czy sprawa do niego należy, jakie względem niej stanowisko mają zachować wierne owieczki.

Cóż powiedzieć o pretensjach tego rodzaju? Chyba to, że są one przynajmniej o kilka wieków późniejsze. Nigdzie już w Europie, nie wyłączając Galicji, nie słychać o tak nadzwyczajnych zakusach klerikalnych.

U nas jednak podejmuje się je z odwagą, godną lepszej sprawy, rachując zapewne na ciemnotę chłopca, na jego konserwatyzm obyczajowy, związany z uległością dla duchowieństwa.

I kiedy się je podejmuje? Zdawałoby się, że po skandalu jasnogórskim, po całym szeregu ujemnych objawów w życiu kleru i jego stosunku do ludności, władza kościelna znajdzie właściwsze i pilniejsze dla sie-

bie zadanie, niż wypowiedzianie bezwzględnej walki tym, czy innym formom ruchu ludowego i rozbudzanie w tym celu namiętności. Należało chyba przedewszystkiem zatroszczyć się o zrobienie jakiegoś porządku we własnych szeregach, chociażby w myśl słów: *medice cura te ipsum*. Tymczasem widzimy, jak niedbalstwo we własnym zakresie idzie w parze z bezwzględnością, sięgającą po dziedzinę władzy, zgola klerowi nieprzyślugującej.

Zresztą władza kościelna ujawniła w tym wypadku, prócz innych niepoehlebnych właściwości, jeszcze zdumiewającą krótkowzroczność. Zapomniała zupełnie o analogicznych eksperymentach, jakie stosowano w swoim czasie przeciw działalności księdza Stojalowskiego.

W każdym razie obowiązkiem demokratycznych kół polskiej inteligencji jest wypowiedzieć się w tej sprawie wyraźnie, tak, iżby budzące się odłamy ludu głos ich usłyszały. Tak zwany poważny ogół powtarza sobie cynicznie z ust do ust, że za wszelką cenę utrzymać należy wśród ludu autorytet księży, że cham jest od tego, ażeby ich słuchał w każdym wypadku i nie rozróżniał rzeczy świeckich od kościelnych. Trzeba jednak, ażeby lud dowiedział się, że poza tem haniebnym stanowiskiem są jeszcze w inteligentnej warstwie społeczeństwa polskiego inne żywioły, które szczerze życzą powodzenia samodzielnemu rozwojowi mas ludowych, gdyż w nim widzą ostoję przyszłości i rękomię odrodzenia narodowego“.

— Tygodnik „Światło“ zestawując bilans działalności demokratyczno-narodowego Koła Polskiego w Dumie Państwowej, ocenia ją bardzo surowo. Przedewszystkiem organ lewicowy wytyka Kołu jego stanowisko ugodowe.

„Narodowa Demokracja mówi o sobie, że się w Dumie trzyma polityki „wolnej“ ręki, że, dbając wyłącznie o polskie interesa narodowe, nie wiąże się na stałe z żadnym stronnictwem rosyjskiem, że wszystkie traktuje z nieufnością, ale gotowe jest w każdej danej sprawie iść ręką w rękę z każdym stronnictwem, a nawet z rządem, jeżeli może to dać jakieś „narodowe“ korzyści. W rzeczywistości jest jednak całkiem inaczej. Koło Polskie we wszystkich najważniejszych sprawach ogólnych—od których zależy cały kurs polityki narodowej—szło stale ręką w rękę z rządem, z prawicowo-nacjonalistyczno-październikowcówą większością dumską.“

Koło stale głosowało za budżetem i wszelkimi pożyczkami, to znaczy dawało rządowi fundusze na jego politykę. Każdy grosz podatku, wyciskany z ludności, każda pensja wypłacana urzędnikom rządowym, posiada sankeję Koła Polskiego. Koło głosowało zawsze za kontyngensem rekruta; każdy żołnierz polski, wędrujący do głębi Rosji lub za Ural, idzie tam za jawną zgodą i aprobatą Koła Polskiego. Koło popierało stale zagraniczną politykę rządu, kiedy w Dumie posłowie robotnicy lub opozycyjni atakowali rząd za działalność „ochrony“, za prowokację, za straszliwe tragedje więzienne, za kary śmierci—Koło Polskie stale milczało; ani jeden fakt z tej dziedziny, dotyczący Królestwa, nie został przez żadnego posła polskiego ujawniony z trybuny dumskiej; nazwisko Kaznakowa, że to tylko wspomniamy, nie zostało nigdy wymienione przez tych „przedstawicieli“ ludności polskiej. Koło — kiedy wytykano mu to wstępne milczenie — tłumaczyło się, że się z zasady nie miesza do spraw „wewnętrznych rosyjskich“. Jakby gwałty, dokonywane nad tysiącami polskich robotników, były jakąś „polską“ sprawą.

Dowodem, jak nędznym i obłudnym wykretem było to tłumaczenie się, jest fakt, że Koło często głosowało w sprawach istotnie czysto-rosyjskich, bezpośrednio ludności polskiej zgola nie dotyczących— a robiło to zawsze, żeby poprzeć rząd i większość dumską. To właśnie *głosami Koła Polskiego* przeszedł w Dumie stołypński ukaz 9 listopada o wychodzeniu włościan rosyjskich z „obszczyzny“, ukaz, zmierzający do utworzenia na wsi rosyjskiej warstwy zamożnych chłopów-reakcjonistów i miljonowego bezrolnego proletariatu. Toż przed kilku zaledwie miesiącami Duma znówu *głosami Koła Polskiego* odrzuciła wniosek, wyznaczający maksymalne rozmiary chłopskiej własności ziemskiej. Toż wczoraj jeszcze wódz październikowców Guczkwow zapewniał członków Koła, że „nie zapomni im nikt dobrze myślący, iż taki projekt nowej ustawy wojskowej przeszedł przeciwko głosom lewicy *głosami prawicy, centrum i Koła Polskiego*“. Toż jeszcze dzisiaj Koło Polskie głosowało wraz z nacjonalistami i październikowcami za wzięciem pod obrady przez Dumę projektu Rady

Państwa w sprawie sądów „wołosnych“ na wsi rosyjskiej. Ilekroć nadarzy się po temu sposobność, Koło zawsze głosuje wraz z większością rządową przeciw opozycji w nadziei, że mu jednak za to ktoś gdzieś kiedyś zapłaci.

Dużo słuszności jest w tej dosadnej charakterystyce neo-ugodowców, którzy zapożyczili od „realistów“ ich metody polityczne, a nie zrezygnowali z pretensji reprezentowania idei wszechpolskiej...

Listy do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze!

Wobec tego, że przykre zajście, które miało miejsce w ogrodzie Bernardyńskim dnia 18 maja r. b., fałszywie — jak słyszę — jest komentowane, przyczem ja właśnie pomawiany jestem o tendencyjne oświetlenie sprawy, uprzejmie Pana Redaktora proszę o udzielenie mi miejsca na krótkie wyjaśnienie.

Kelner cukierni p. Sztralla oświadczył pisemnie, że — posłany do kasy teatralnej przez p. Pawłowskiego — kupił mu bilet; po chwili został powtórnie przez tegoż p. Pawłowskiego wezwany. P. Pawłowski, okazując bilet rzekomo bez marki, zlecił mu poufnie zwrócić się bezzwłocznie do komisarza policji z podaniem tego faktu. Pod nagłą namową p. Pawłowskiego kelner uczynił to, co też poświadczyło podpisami swemi trzech jego kolegów.

Racz przyjąć Sz. Redaktorze wyrazy... etc.

Bronisław Oranowski.

Szanowny Panie Redaktorze!

W № 21 „Przeglądu Wileńskiego“ ukazał się artykuł p. t. Przytułki noclegowe w Wilnie, w którym znajdujemy wiele niedokładności, pochodzących widocznie z braku wiadomości informacyjnych, wobec czego czujemy się obowiązku nadesłać sprostowanie.

1) Tradycja udzielania pańnikom lokalu w murach po-Franciszkańskich zniesiona nie została, bowiem na ten cel przeznaczony został lokal, obejmujący nie tylko przytułek noclegowy, lecz i inne wolne działy Miejskiego Kuratorjum nad biednymi, zajmujące całe górne piętro murów po-Franciszkańskich.

Przy tem nadmienić należy, że pierwotnie udzielany lokal posiadał posadzkę kamienną, wobec czego wiele osób ciężko zapadało na zdrowiu, obecny zaś lokal ma podłogę drewnianą.

Obliczenia zajmowanej przestrzeni wykazały, że lokal niczem się nie różni od udzielanego w roku zeszłym.

2) Wobec tego, że działalność Miejskiego Kuratorjum nad biednymi nie została ukończoną i poszczególne działy jeszcze funkcjonują, Rada Kuratorjum nie mogła przerywać systematycznej pracy miejskich zakładów dobroczynnych, aby zużytkować dawniej używany lokal na schroniska dla pańników.

3) Mury po-Franciszkańskie, pozostające w części w posiadaniu Kuratorjum nad biednymi, nigdy nie mogły zmieścić pielgrzymek, liczących pięć i więcej tysięcy; ci co nie mogli zmieścić się w murach, lokowali się pod golem niebem. Wobec czego Rada Kuratorjum poinformowała osoby zainteresowane o liczbie, jaka może się zmieścić w lokalu, wynoszącej nie więcej nad tysiąc osób.

4) Oddawna się odczuwa brak odpowiednio urządzonego lokalu, przeznaczonego dla przybywających do Wilna pańników. Należało Szanownemu duchowieństwu oraz osobom, stojącym u steru powyższej sprawy, a wnioskującym w nieodzwonnie potrzeby ludności, pomyśleć o zbudowaniu odpowiedniego lokalu dla pańników, chociażby w Kalwarji, a nie działać ze szkodą dla miejskich instytucji filantropijnych.

A. Jankowski.

Prezes Miejskiego Kuratorjum nad biednymi.

(Przyp. Red.). List powyższy stwierdza potrzebę przytułku specjalnego dla pańników, czających do Kalwarji via Wilno. Sądymy, że wybudowanie jego jest obowiązkiem duchowieństwa miejscowego, które rozporządza ogromnymi środkami, pochodzącymi z ofiar tychże pielgrzymek. Kwestję stałego przytułku noclegowego miejskiego p. A. Jankowski pomija mileżeniem, autorowi artykułu o nią zaś głównie chodziło.

Głosy rosyjskie.

O kursy nauczycielskie.

Zakazanie przez ministerjum oświaty kursów nauczycielskich w Petersburgu zrobiło bardzo silne — niezbyt korzystne — wrażenie w sferze inteligencji rosyjskiej. Wielu nauczycieli, którzy zapóźno otrzymali wiadomość o zakazie, przybyło już do Petersburga i ci są, naturalnie, rozgoryczeni. Motywy ministerjum — że ono samo myśli o urządzeniu podobnych kursów, powszechnie uważane są za niewystarczające.

W sprawie tej piszą między innymi „Birż. Wiedomosti“:

„Kursy nauczycielskie, urządzone przez grupę profesorów uniwersytetu petersburskiego, istnieją już przez cztery lata. Kursom tym przyświeca cel bardzo szlachetny — pomaganie nauczycielom ludowym, chcącym powiększyć zasób wiedzy i zapoznanie ich z udoskonalonemi metodami nauczania. Organizacja kursów nie otrzymuje żadnych subsydjów od ministerjum; istnieje z pieniędzy, płaconych przez swoich uczniów. Dopomaga tu, naturalnie i dobroczynność publiczna. wielu bowiem przyjezdnych nauczycieli niema z czego płacić za naukę. Organizatorowie kursów nie poprzestawali na stosunku formalnym do sprawy; wglądali w potrzeby słuchaczy, wynajdywali dla nich tanie mieszkania, urządzali wybieżki i t. d. Ten stosunek organizatorów do kursów wyrobił im wielką popularność, na kursy zaczęli się zapisywać nauczyciele i nauczycielki z najdalszych kresów Cesarstwa Syberja z obwodem jakuckim włącznie, przyłała co rok setki słuchaczy, którzy przyjeżdżali bądź na swój koszt, bądź na koszt instytucji, w których pracowali.

Jakby się zdawało ministerjum oświaty, jeżeli samo myśli o założeniu podobnych kursów, powinno być tylko wdzięczne profesorom petersburskim, którzy, nie żądając żadnej pomocy materialnej, znakomicie zorganizowali kursy i prowadzą je wzorowo. Tymczasem właśnie ministerjum oświaty zaprotestowało przeciwko istnieniu kursów. Gdy zaś organizatorowie kursów chcieli je urządzić na podstawie prawa z 4 maja, jako odczyty publiczne, naczelnik miasta Petersburga spotkał się znów w tej sprawie z opozycją ze strony ministerjum oświaty“.

Po wykazaniu następnie nicości argumentów za zamknięciem kursów, „Birż. Wied.“ konkludują:

„Mamy przed sobą teraz obraz, który nie da się pomyśleć w żadnym państwie kulturalnem. Tysiąc nauczycieli zjechało się ze wszystkich zakątków Rosji i czeka na otwarcie kursów. A tymczasem ministerjum oświaty upiera się przy swoim i uważa za szkodliwe to, co istniało bez przeszkód w ciągu lat czterech i zjednało sobie sympatję w całym społeczeństwie“.

Pół miljarda na marynarkę.

Uchwała komisji dumskiej w sprawie przyznania ministerjum marynarki kredytu pół miljarda rubli jest żywo komentowana przez prasę rosyjską. Ciekawe uwagi w tej sprawie zamieszcza „Kijewskaja Myśl“, pragnąc zanalizować te metody i środki, przy pomocy których ministerjum wojny odniosło w komisji zwycięstwo.

„O rosyjskiem ministerjum marynarki — rozpoczyna uwagi swe „Kijewskaja Myśl“ — pisano

już wiele. Nie mało też mówiono w ostatnich czasach o coraz bardziej górującem dążeniu do egzotycznego odrodzenia floty. Punkt widzenia rozsądnie pojmowanych interesów politycznych łącznie z rozsądnym pojmowaniem interesów rozwoju kulturalno-gospodarczego zniewalały do tego, że owe „patryjotyczne” zamierzenia trzeba było uważać za eksperyment, którego fatalne następstwa odbiją się na dalszym rozwoju państwa. Było to tak jasne, że nawet pełzający przed domorosłym nacjonalizmem p. Guczkow, zmuszony był tym razem powiedzieć swe „veto”.

„A jednak ministerjum odniosło zupełne zwycięstwo!

„Dla zrozumienia zwycięstwa, odniesionego przez ministerjum i porażki poniesionej przez Guczkowa, którego w komisji budżetowej opuścili nawet właściwi jego towarzysze partyjni, byłoby pożądanem zwrócić bacniejszą uwagę na związek pomiędzy polityką a następstwami uchwały, w postaci dostaw, zamówień, nagród i t. d., o czym zresztą już obecnie mówią różnemi półsłówkami. Z czasem, należy przypuszczać, będzie to zrobione. Lecz nawet i obecnie wystarczy wskazać na wewnętrzną, naturę okrężczanego „patryjotyzmu” i na socjalno-patryjotyczny charakter, oparty na prawie 3 czerwca przedstawicielstwa narodowego. W izbie obywateli ziemskich i grynderów rodzimego kapitału nie może być mowy o troszczeniu się o potrzeby wielu oraz o ostrożnem szafowaniu funduszami narodowemi. A fronda p. Guczkowa świadczy jedynie o tem, że wódz paździenikowców źle zna psychologię swej armji. Rzucono obietnicę, pokazano smaczny kasek, i doprowadzeni do „wesolego nastroju” posłowie, jedni wskutek „obfitości przekąsek” w terażniejszości, inni na widok gorącego „pieroga” państwowego w przyszłości — zgromadzili się tłumnie i zburzyli ciężkie przegrrody, wysunięte przez politykę paździenikowców. Posiedzenie komisji budżetowej oraz „wesola” wycieczka posłów do Kronsztadtu, przecież w zupełności przypomina nastroj zgromadzeń gminnych. Ten sam w zupełności obraz; ta sama metoda i te same wyniki... Zwyczaję patryjarchalnej gminy w skali pańs'wowej są typowym obrazkiem dla przyszłych wyborów.

„Pozostaje jeszcze — mówi w końcu „Kijewskaja Myśl” — plenarne posiedzenie Dumy. Lecz dla ludzi, przyzwyczajonych do orjentowania się w stosunkach parlamentarnych nie może być żadnych wątpliwości co do wyniku epopei okrętów. 502 miliony, wyasygnowane do specjalnego rozporządzenia ministerjum marynarki — oto ciężar, który tak wysławiana III Duma wkłada na barki narodu w przededniu ukończenia jej pełnomocnictw. Jaka na to odpowiedź?

Jedyną odpowiedzią na te zwycięstwo większości ministerjalnej może być porażka jej na przyszłych wyborach”.

KRONIKA.

== Jubileusz Bronisława Znatowicza.

W ubiegłą sobotę świat naukowy warszawski obchodził uroczyste jubileusz 40-letniej pracy na polu naukowym znanego przyrodnika-chemika i zasłużonego redaktora tygodnika „Wszechświat” — Bronisława Znatowicza.

Za jedną z największych zasług jubilata, będącej niejako uwieńczeniem całej jego działalności poczytywać należy

jego niezmordowane zabiegi nad ujednostajnieniem słownictwa polskiego w dziedzinie chemji i oczyszczeniem go z wszelkich naleciałości.

Uroczystość jubileuszowa odbyła się w wielkiej sali Muzeum przemysłu i rolnictwa, gdzie się zgromadzili przedstawiciele wszystkich instytucji naukowych i kulturalnych Warszawy, którzy wręczyli jubilatowi odpowiednie adresy lub wygłosili stosowne przemówienia.

== „Nad Świsłoczą”.

Pod tym tytułem wyszła w Mińsku pod redakcją p. Wł. Dworzaczka jednodniówka ilustrowana, zawierająca liczne informacje o instytucjach kulturalnych i społecznych w Mińsku oraz charakterystykę niektórych momentów działalności społeczeństwa polskiego w Mińszczyźnie. Lwią część jednodniówki wydawca poświęcił sprawom ekonomicznym.

Jednodniówki tego rodzaju p. Dworzaczek ma zamiar wydawać periodycznie, pragnąc w ten sposób zastąpić brak stałej prasy polskiej w Mińsku.

== Niezbędni.

Pisma rosyjskie donoszą, że w liczbie delegatów, obecnych na uroczystościach moskiewskich podczas odsłonięcia pomnika Aleksandra III, był również p. Niezabitowski poseł do Rady Państwa z gub. mińskiej. Czy p. Niezabitowski występował w roli reprezentanta Koła Polskiego w Radzie Państwa, czy szlachty mińskiej, czy wreszcie przedstawiał własną osobę jedynie — to pozostaje na razie tajemnicą.

== Zgon Anatola Leroy-Beaulieu.

Publicysta francuski Anatol Leroy-Beaulieu, urodzony w roku 1842, zmarł w Paryżu. Zajmował się z początku historją sztuki i ogłosił z tej dziedziny w roku 1866 książkę p. t. „Une troupe des cimedians”, a w roku 1875 „La restauration de nos monuments historiques devant l'art et devant le budget”. Poczem odbył Leroy-Beaulieu kilka podróży do Rosji, poczem zamianowano go profesorem historii w „Ecole libre des sciences politiques”. Rozprawy, umieszczane w „Revue des deux Mondes”, zostały następnie wydane w książkach p. t. „Un empereur, un roi, un pape, une restauration” (1879), „L'empire des Tsars et les Russes” (3 tomy 1881—1893), „La France, la Russie et l'Europe” i t. d. Zmarły był bratem żyjącego jeszcze Pawła Leroy-Beaulieu, znanego ekonomisty.

== Kobieta posłem.

W Młodym Bolesławiu, w Czechach, wybrana została na posła do sejmku 1,161 gł. na 1,248, a więc niemal jednogłośnie literatka Kuneticka. Namiestnik, ks. Thun, wyraził się jednak, że, jego zdaniem, wybór kobiety do sejmku czeskiego jest nieważny. P. Kuneticka, jeżeli nie otrzyma certyfikatu, zwróci się do trybunału państwowego, aby uzyskać orzeczenie zasadnicze. Prasa czeska zaś, opierając się na tekście statutu krajowego, domaga się wydania p. Kunetickiej certyfikatu.

Treść numeru.

„Realista” na mównicy — Innego.

Pospieszne wnioski — W. Szukiewicza.

Odpowiedź p. Hłasce — M. Römera.

Nad Sekwaną — W. Kiślańskiej.

Jubileusz działacza litewskiego — mr.

Z księgi ciszy. — J. St. Wierzbickiego.

Wystawa krajobrazu — Mirona.

Teatr letni — B. H.

Przegląd piśmienniczy — D. Zgl.

Listy do redakcji.

Prasa polska. Głosy rosyjskie, Kronika.

Odcinek: „Kochankowie”. — W. Grubińskiego.

Żądajcie wszędzie „ODOBRIN“

tylko MICHAŁA LEBIEDIEWA.

Tępi odciski



i brodawki z koryzoniem

TRYPPER HONORRHEE, RZEŻĄCZKĘ i UPŁAWY w OSTRYM i CHRONICZNYM OKRESIE

szybko i radykalnie usuwa całkiem nieszkodliwy środek (dla użytku wewnętrznego)

„TIELERIN“

Doktora medycyny uniwersytetu genewskiego E. Gorochońskiej

Cena zwykłej flaszki (na 10 dni)—1 rb. 75 k. i podwójnej—3 rb. bez przesyłki.

Szczegółowy przepis przy flaszce. Ekspedycja za zaliczeniem pocztowym.

Adres: Д-ру мед. Э. М. Гороховской, Москва, Срѣтенна, Давъ пер. б. 1-28, нв. 3.



POZYTYW

Radykalny środek
od łupienia

Przeciwko
wypadaniu włosów.

Wzmacniają
ich prost

K. ERMANS i S-ka Moskwa.

Informator Handlowy.

BIURO PRZEPISYWAŃ
A. Skarzyńskiej

Wilno, Tatarska 12. Telefon 1002.

POŚPIECH I OKŁA NOŚĆ.

SZEW C

T. KRZYŻANOWSKI

Wilno, Bonifraterska (Preobraż.) № 8.

Obuwie gotowe i na obstalunek.

St. Stefanowski

i J. Marciniak

Pracownia kostjumów, okryć oraz futer
damskich

Wilno, ulica Wielka № 20a.

KSIĘGARNIA

KULTURA Wilno,
omi nik ańska 14.

PRENUMERATA PISM.

Wszelkie nowości.

Przynęta „Rybolin“ Niezbędny środek dla skutecznego połowu ryb.

Korzystając z „Rybolinu“ nie trzeba wysiadywać godzinami dopóki ryba przypadkowo natknie się na przynętę. „Rybolin“ jako domieszka do przynęty wydaje na daleką przestrzeń woń ulubioną przez ryby. Ryba zbliża się mimowoli i chwytą za przynętę. Duży flakon „Rybolinu“ z przesyłką i opakowaniem 1 rub. 50 k. Do Rosji Azjatyckiej dodatkowy koszt przesyłki podług taksy.

Przynęta „Rybolin“ znajduje się w sprzedaży już od dziesięciu lat i używana jest przez wszystkich moskiewskich miłośników rybołówstwa.

Skład główny „Rybolinu“ dla całej Rosji u wynalazcy J. Głazunowa.
Moskwa, Stolesznikow № 8.

Gwarancja absolutnej nieszkodliwości „Rybolinu“ jako przynęty. Katalog przyrządów do rybołówstwa z wzor. wysyła skład główny po otrzymaniu marki 7 kop.

KRYTYKA

Miesięcznik, poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce.

Wychodzi rok XIV w rakowie.

Jak w latach poprzednich „Krytyka“ pozostaje placówką niezależnej myśli narodowej i społecznej oraz przybytkiem, poświęconym prawdziwej sztuce. W dziale politycznym „Krytyka“ bez oportunistów dąży do wcielenia ideału narodowego i omawia najważniejsze zagadnienia kultury i postępu. Dział literacki przynosi obraz współczesnej myśli filozoficznej i artystycznej w kraju i zagranicą. Do każdego zeszytu dołącza się kilka dodatków, zawierających reprodukcje wybitnych dzieł sztuki.

Prenumeratę w kwocie 10 rb. rocznie, 5 rb. półrocznie i 2 rb. 75 kop. kwartalnie należy przysyłać wprost do administracji „Krytyki“ w Krakowie, ul. Staszica 1. 3.

BARDZO DUŻA ŚCIENNA KOLOROWANA

MAPA LITWY i RUSI

(Litwa, Białoruś, Podole, Wołyń, Ukraina)

oprac. na podst. najnowszych źródeł przez J. M. Bazewicza

z oznaczeniem: miast, miasteczek, osad, wsi, rzek, gór, dróg żelaznych, bitych, gościńców i zwyczajnych z odległościami, z podziałem na gubernje i powiaty w arkuszach rb. 4, na płótnie rb. 5.50, z teczką rb. 6.75 przes. kop. 75, wern. z wałkami rb. 8, przes. rb. 1.50.

J. M. BAZEWCZ.

Warszawa, Jerozolimska № 25.